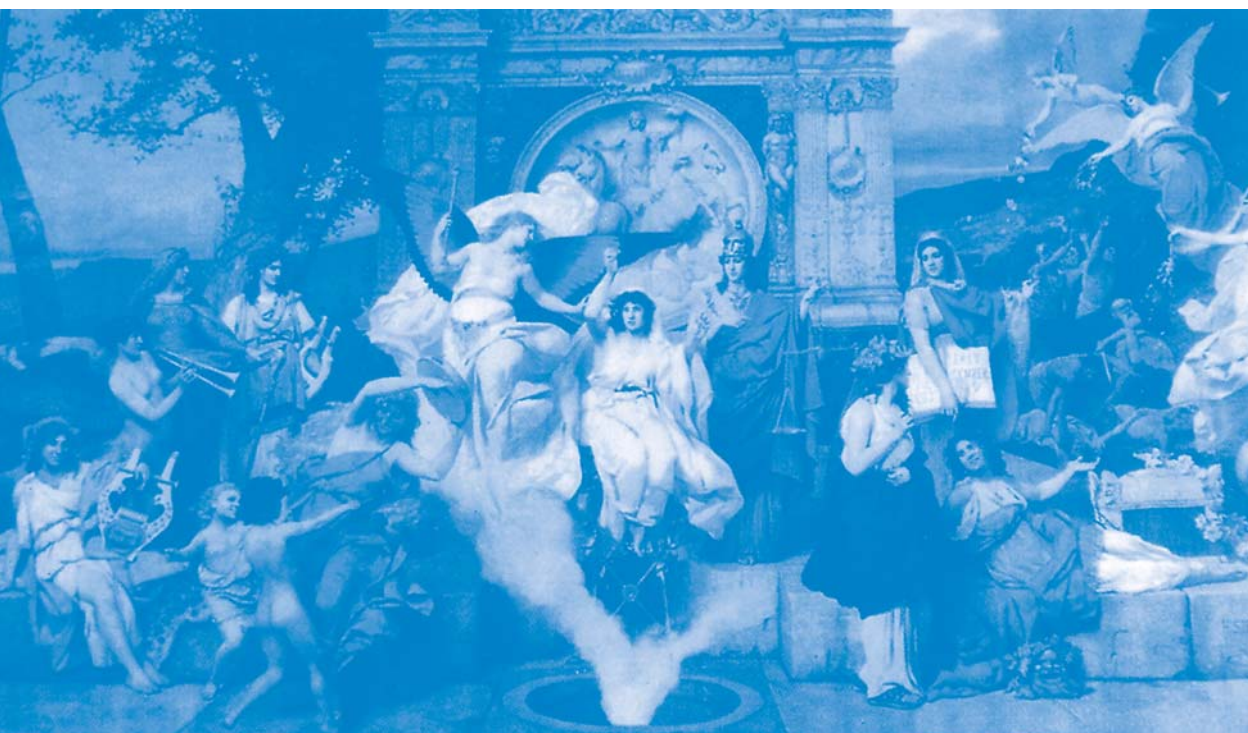


CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



3

(83) 2015

Swój Lwów wspominają A. Bajcar i A. Aleksandrowicz
♦ O Brodach opowiada J.A. Kędzierska, o zjeździe Tarnopolan A. Madej ♦ Dwie rozmowy – dwie epoki: Z. Wawszczak o rodzinie Kopaczów; J.M. Paluch o drodze A. Kościeckiej ♦ Wspomnienie z czasu wojny oczami dziecka ♦ A. Bradecki o lwowskiej szkole ♦ Wspomnienie o wynalazcy ♦ Poezja i proza ♦ Kultura, nowe książki ♦ Sylwetki

NUMER BOGATY

Mieliśmy już w naszym wydawniczym dorobku niejeden numer podwójny. To znaczy taki, na który składają się dwa zeszyty, a każdy coś innego wnosi. Był nawet potrójny, w numerze 3/2014 (79), na 20-lecie „Cracovia-Leopolis”.

Tym razem postanowiliśmy uczcić ostatnią – w czasie – część twórczości zmarłej niedawno pisarki Barbary Czałczyńskiej, autorki felietonów pisanych przez ponad 10 lat do naszego kwartalnika i zawsze chętnie czytanych, bo były piękne i mądre. Wyszliśmy z założenia, że owe numery kwartalnika razem ze swoją całą zawartością pójdą z czasem w zapomnienie, ukryte nie tylko na półkach domowych biblioteczek, ale i w bibliotekach czy archiwach publicznych, gdzie pozostać muszą. Za 20 czy 30 lat mogą się nimi zainteresować badacze-specjaliści, ale w naszym przypadku nie o to przecież chodzi. Za swój obowiązek przyjęliśmy, aby zachować w szerszej pamięci owe ostatki pisarstwa Basi Czałczyńskiej.

Jedyny ratunek, naszym zdaniem, to ponowne wydanie tekstów felietonów – tym razem w formie tomiku o własnej tożsamości, który trafi do większej liczby bibliotek niż całe roczniki kwartalnika. Do bibliotek miejskich, gminnych, szkolnych, ale przede wszystkim do polonistów, którzy je uwzględnią w swoich pracach o literaturze. Oczywiście nie wydamy tych tomików aż tyle, ale umożliwimy wielu wydawcom kolejne edycje, które miałyby szanse szerzej się rozjechać. Taka jest nasza intencja.

Co jeszcze znajdujemy w tym numerze „Cracovia-Leopolis”? Przede wszystkim ciekawe wspomnienie Adama Bajcara *Mój Lwów*, które już wcześniej było publikowane w wydaniu zbiorowym pt. *Europa NIE prowincjonalna*, pod redakcją prof. Krzysztofa Jasiewicza, jednak mało dostępne dla naszych Czytelników*. Dalej wspomnienie o Stanisławie Alexandrowiczu, polecone nam przez dr K. Grodziską. Przechodząc poza Lwów przedstawiamy artykuł J.A. Kędzierskiej o dniu dzisiejszym w Brodach. I jeszcze dalej dwa krótkie wspomnienia.

Dochodzimy do dwóch bardzo obszernych i bardzo różnych rozmów. Pierwsza, przeprowadzona przez Z. Wawszczaka opisuje dramatyczne dzieje rodziny wywiezionej z Podola na Syberię, na szczęście uratowanej po wojnie. Podobna tematyka – wojny, deportacji, walki z okupantami, a wreszcie ekspatriacji i emigracji – jest na naszych stronach często omawiana.

Brakuje nam jednak, jak dotąd, rozważań nad powojennymi losami Polaków, którzy swej ziemi ojczystej – naszej wspólnej Ziemi – nie opuścili, przede wszystkim ich dorastających dzieci. Młodych ludzi, którzy stają wobec całkiem nowych sytuacji, może mniej tragicznych, ale zawsze dramatycznych. I muszą je rozwiązywać...

Z tego właśnie powodu poprosiliśmy naszego wieloletniego autora rozmów, J.M. Palucha, o podjęcie rozmowy z taką właśnie osobą: urodzoną po II wojnie w nowej, niesprzyjającej narodowo sytuacji, ale ambitną i konsekwentną.

I dalej liczne artykuły i wspomnienia, wiersze i proza – na różne tematy, z różnego czasu i różnych autorów. Jak zwykle!

Zapraszamy do przeczytania i przemyśleń.

Redakcja

* Obszerny tekst prof. K. Jasiewicza z książki *Polskie Radio na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej* zamieściliśmy za Jego zgodą w CL 1/2015. Obecnie Autor nie zgłosił sprzeciwu co do przedruku tekstu z *Europy NIE prowincjonalnej*.

Babcia ze Lwowa

Kiedy babcia mawiała: tam u nas...
było jasne, że u nas to Lwów!
Że furda tam babci komuna,
bo babcia zamieszka tam znów.
Dziadek znowu: Ta joj! – do niej powie
i założy szac ancug i w cug,
i będzie jak dawniej we Lwowie,
kiedy brał ją do tańca i bruk.

I babcia znów mieszka we Lwowie,
bo w niebie na pewno jest Lwów!
Bo przecież nie mieści się w głowie,
by Bóg nie rozumiał jej słów!
We Lwowie się żyło ta joj!
O Lwów jak się biło ta joj!
Za Lwowem się cniło ta joj!
O Lwów się modliło ta joj!

Powrócimy do Lwowa, bajbusie,
gotowa tam już mamałyga
i w niebie na białym obrusie
z Babcią będziemy ją frygać!

I babcia znów mieszka we Lwowie,
bo w niebie na pewno jest Lwów!
Bo przecież nie mieści się w głowie,
by Bóg nie rozumiał jej słów!
We Lwowie się żyło ta joj!
O Lwów się biło ta joj!
Za Lwowem się cniło ta joj!
O Lwów się modliło ta joj!

Ta gdzie si tam babci katulać?
Ta tylko do Lwowa si kulać!
Ta gdzie si tam babci katulać?
Ta tylko do Lwowa si kulać!

We Lwowie się żyło ta joj!
O Lwów jak się biło ta joj!
Za Lwowem się cniło ta joj!
O Lwów się modliło ta joj!



Polski Teatr Ludowy we Lwowie w trakcie przedstawienia

Mój Lwów

Adam Bajcar

Poniższy tekst pochodzi z pracy zbiorowej pod red. prof. Krzysztofa Jasiewicza pt. „Europa NIE prowincjonalna”, Instytut Studiów Politycznych PAN, Oficyna Wydawnicza „Rytm”, Warszawa–Londyn 1999.

Obraz stron rodzinnych pozostawia trwały ślad w ludzkiej pamięci. Jest on tym mocniejszy, im bardziej wspomnienia z minionych lat nasycone są emocjonalnymi przeżyciami. Szczególny urok Lwowa i jego nadzwyczajna witalność sprawiają, iż związek z tym miastem oparty jest na głębokim zaangażowaniu uczuciowym. Przywołując z zakamarków pamięci różne sytuacje z odległej przeszłości, warto je konfrontować niekiedy z obecną rzeczywistością, co pozwala na głębszą refleksję i budzi także nadzieje związane z przywracaniem temu miastu należnej mu rangi wśród sławnych metropolii Europy.

ŻYCIE NA PRZEDMIEŚCIU

Wspomnienia z mojego dzieciństwa odzwierciedlają obraz lwowskiego przedmieścia, które funkcjonowało własnym życiem i gdzie w okresie międzywojennym uformowała się specyficzna społeczność. Ludzie żyli tu w bliskim kontakcie wzajemnym, czemu sprzyjały niejednokrotnie związki rodzinne i wspólne miejsca pracy, a także podobne warunki bytowania. Wyrastałem na Lewandówce, zachodnim przedmieściu Lwowa, które rozrosło się na fali żywiołowej parcelacji gruntów, należały one do wsi Biłohorszczce i zostały przyłączone do obszaru miasta. Patrząc na przedwojenny plan Lwowa, trudno nie zauważyć regularnego układu ulic, którym odznaczało się moje przedmieście.

W rzeczywistości wykrojono tu bardzo wąskie parcele, a skromna zabudowa jednorodzinnych z reguły domów została nadmiernie stłoczona. Położona w wielkim łuku obszernych terenów kolejowych, tuż za Dworcem Głównym, była Lewandówka przede wszystkim przedmieściem kolejarzy. Mieszkały tu także rodziny tramwaja-

rzy, pocztowców, robotników budowlanych – spotkać można było furmanów i żyjących w ubóstwie. W szkole byliśmy jednak wszyscy traktowani bez względu na standard rodzinny.

Nie tylko tereny kolejowe oddzielały Lewandówkę od miasta. Rozległą przerwę w zabudowie tworzyło Błonie Janowskie, gdzie istniało pierwsze lotnisko. To właśnie stąd wystartował pierwszy w dziejach lotnictwa samolot z pasażerem; zdarzyło się to na początku polsko-ukraińskich walk o Lwów w listopadzie 1918 roku. Lotnisko przeniesiono w 1926 roku do Skniłowa i ja chodziłem tam z ojcem na pokazy lotnicze. Natomiast na Błoniu główną atrakcją – dla nas, chłopców – było boisko TSL z dziurami w płocie do podglądania meczów piłkarskich. Tradycje lotnicze Lewandówki utrwalono w nazwach ulic przedmieścia, upamiętniając także znanych pilotów: Bastyra, Steca, Żwirkę i Wigurę.

Główną ulicę, przy której mieszkałem, nazwano Lotniczą i ta nazwa przetrwała do dziś w ukraińskiej formie jako „wułycia Powitriana”. Podobnie zachowała dawną nazwę ulica Szeroka. Płynął wzdłuż niej potok Biłohorski, nazywany potocznie fosą, której już nie ma. Spływała spod parowozowni, zanieczyszczona jej smarami. Nie docenialiśmy wówczas jej znaczenia, a przecież jej wody zmierzały do Morza Czarnego, podczas gdy prawie cała pozostała część miasta położonego nad Pełtwią należała do zlewiska Bałtyku. Na podmokłych torfowiskach, przylegających od północy do Lewandówki, można było spotkać karłowate drzewa, typowe dla tundry. Brodząc po tych bagnistych łąkach miało się przedsmak przygody. Zapoczątkowana podczas wojny eksploatacja torfu zniszczyła jednak ten cenny rezerwat.

W dni targowe naszą ulicą sunęły powoli wozy chłopskie z towarem, sprzedawanym na Błoniu. Czepialiśmy się tych wozów dla zabawy, wołając po ukraińsku do powożących chłopów, którzy odpędzali nas batem. Wsie położone na zachód od Lwowa były przeważnie ruskie (czyli ukraińskie).

Wyjątkiem była podlowska wieś Biłohorszcze, mimo dawnej ruskiej nazwy – czysto polska.

Właśnie z tej wsi pochodziła moja matka, natomiast ojciec urodził się w przyległym polskim przysiółku Par-na, należącym do ruskiej wsi Rudno. W rodzinie matki wspominało się babkę pochodzenia niemieckiego, gdzieś ze Szwabii, a kuzyni ze strony ojca byli powiązani familijnie z potomkami kolonistów austriackich. Pamiętam wizyty z ojcem w folwarku „babci” Neugebauerowej na Sygniówce; zmarła ona na syberyjskim zesłaniu, dokąd wywieziono ją w 1945 roku wraz z jej polską synową i dwiema wnuczkami; jej syn zginął w Donbasie.

Życie pośród ludzi różnych nacji, wyznań i obyczajów było dla nas zjawiskiem normalnym. Polskie oblicze miasta i naszego przedmieścia przybierało inny charakter w zetknięciu z codzienną rzeczywistością. Naszymi bliskimi sąsiadami byli także Ukraińcy, najbliższy sklep prowadził Żyd. W polskiej szkole powszechnej od drugiej klasy uczono nas języka ruskiego, co nam pomagało niejednokrotnie w opanowaniu polskiej pisowni. Zastanawiając się na przykład, jak napisać słowo „rzeka” lub „rzadko”, wystarczyło sobie przypomnieć ich ukraińskie brzmienie; „rika”, „ridko”. Nasza polska szkoła mieściła się w nowym budynku, ukraińska zajmowała mały dom. Podczas przerw dochodziło czasem między nami do niegroźnych walk. W życiu sąsiedzkim nie było konfliktów narodowościowych, chociaż tuż przed wojną pojawiały się na murach i parkanach napisy antysemickie w rodzaju: „Nie kupuj u Żyda”. Stojąc kiedyś w gronie moich rówieśników krzyknąłem coś niestosownego za przechodzącym obok Żydem. Doniósł on o tym mojemu ojcu i oberwałem solidne lanie, przyrzekając stokrotnie na piśmie, że nie będę nigdy zaczepiał nikogo na ulicy. Ojciec był cieślą z zawodu, a budując domy na naszym przedmieściu miał dobre kontakty



z Żydami, do których należały składy materiałów budowlanych.

Okres świąt Bożego Narodzenia był bardzo długi. Kiedy mijały dwa pierwsze tygodnie świąteczne w rodzinach polskich, w dzień Trzech Króli zaczynały się *szczedriwką* (wigilią) grekokatolickie święta.

Posługiwaliśmy się kantyczką, w której były także kolędy ruskie. Jak inni chłopcy z sąsiedztwa przeistaczałem się w kolędnika. Chodziliśmy z szopką i wielobarwną banią, najpierw po domach polskich, a później ukraińskich. Ruskie święta kończyły się święceniem wody na Jordana (19 stycznia).

Na Lewandówce był drewniany kościółek i cerkiewka, która przetrwała do dziś.

Mieszkając na przedmieściu pozostawaliśmy w ciągłym kontakcie z miastem. Trzeba było tylko przejść nad torami kolejowymi, by następnie pojechać tramwajem do śródmieścia. Największą radość sprawiały mi wyprawy na zakupy, lecz w pamięci pozostały liczne spacer, wycieczki do Brzuchowic i na odpust do Winnik. Na długo pozostały wrażenia wyniesione z obejrzenia *Panoramy Racławickiej*.

Patriotyczne wychowanie było nieodłącznym elementem edukacji. Podczas ważnych uroczystości gościł w naszej szkole mieszkający na Lewandówce sędziwy weteran powstania styczniowego. Nosił charakterystyczny niebieski mundur z rogatywką i miał siwą brodę, czym zaskarbił sobie nasz szczególnie szacunek. Byliśmy zafascynowani wojskiem i któregoś dnia jesienią 1938 roku udałem się ze starszym ode mnie o trzy lata kuzynem Poldkiem do miasta, by witać powracających z manewrów żołnierzy. Udało się nam zająć znakomite miejsce obserwacyjne na cokole pomnika Adama Mickiewicza. W opowieściach ojca przewijały się wciąż jego dramatyczne przeżycia z I wojny światowej: w armii austriackiej pod Krakowem, w niewoli rosyjskiej i znów w mundurze austriackim na froncie włoskim, gdzie został ranny. Wydarzenia te zdawały się być dla mnie bardzo odległe w czasie.

Nowościami okazały się natomiast szkolenia z cywilnej obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej, w których teraz czynnie uczestniczył ojciec. W naszym mieszkaniu pojawiło się całe wyposażenie z tym związane. Nikt z nas jednak nie przypuszczał, że wojna jest tak blisko.

WRZESIEŃ 1939 ROKU I RZĄDY SOWIECKIE

Pierwszy dzień owego tragicznego września był wyjątkowo pogodny. Murarze kończyli tynkowanie naszego domu i na podwórzu było więcej osób. Ujraliśmy eskadrę samolotów lecących nad miasto.

Wkrótce jednak dały się słyszeć odgłosy mocnych uderzeń i pojedyncze wystrzały. Po pewnym czasie z miasta nadeszły wieści o zabitych i rannych w otoczeniu Dworca Głównego. A więc zaczęło się.

Wobec powtarzających się nalotów nasza rodzina przeniosła się z zagrożonej Lewandówki do sąsiedniej wsi Biłohorszcze. Zatrzymaliśmy się u naszych kuzynów. Wieś leżała na uboczu, choć związana była ściśle z miastem pracą jej mieszkańców. Bardzo wcześniej pojawiły się tu już wojska niemieckie i strzelano do nich z pobliskiego lasu. W odpowiedzi na to Niemcy, chodząc od domu do domu, zabrali wszystkich mężczyzn. Z placem żegnaliśmy się z naszym ojcem. Nie wiadomo jakby się potoczyły ich losy, gdyby nie interwencja sąsiada – Niemca z pochodzenia, który stanął w obronie zatrzymanych, dowodząc ich niewinności. W tym czasie oblężone miasto stawiało opór nieprzyjacielowi.

Niemców zastąpili kolejni najeźdźcy. Tydzień po przekroczeniu Zbrucza wojska sowieckie weszły do Lwowa. Także przez nasze przedmieście przewaliła się dziwnie odziana i zbrojna w długie piki na karabinach masa ludzka. Wśród zwierząt pociągowych pojawił się nawet wielbłąd, pierwszy raz tutaj widziany. W ślad za tą armią ze stepów przychodziły nowe porządki. Wszędzie wdzierала się natrętna propaganda, także do szkół. Na jednej z lekcji przysłany z głębi Ukrainy nauczyciel udawał nam, że nie ma Boga, co wywołało nasz powszechny sprzeciw. Wchodził język rosyjski, zupełnie nie znany we Lwowie. Pod sklepami ustawiały się długie kolejki po żywność i odzież. Stałem nieraz w takiej kolejce po chleb lub cukier od wczesnych godzin rannych, zwalniany przez matkę, by pójść do szkoły.

Podczas mroźnej zimy, w lutym 1940 roku, zaczęły się wywózki. Pewnego dnia nie było już rodziny aptekarza, potem znów kogoś zabrano nocą. Widzę wciąż to przerażenie pojawiające się w oczach mojej matki na odgłos nocnego warkotu.

Dość wcześniej wywieziono naszego kuzyna Marcina. Był kolejjarzem, a skazano go na 5 lat zsyłki pod chińską granicę za małe uszkodzenie wagonu kolejowego w trakcie przetokowego manewrowania

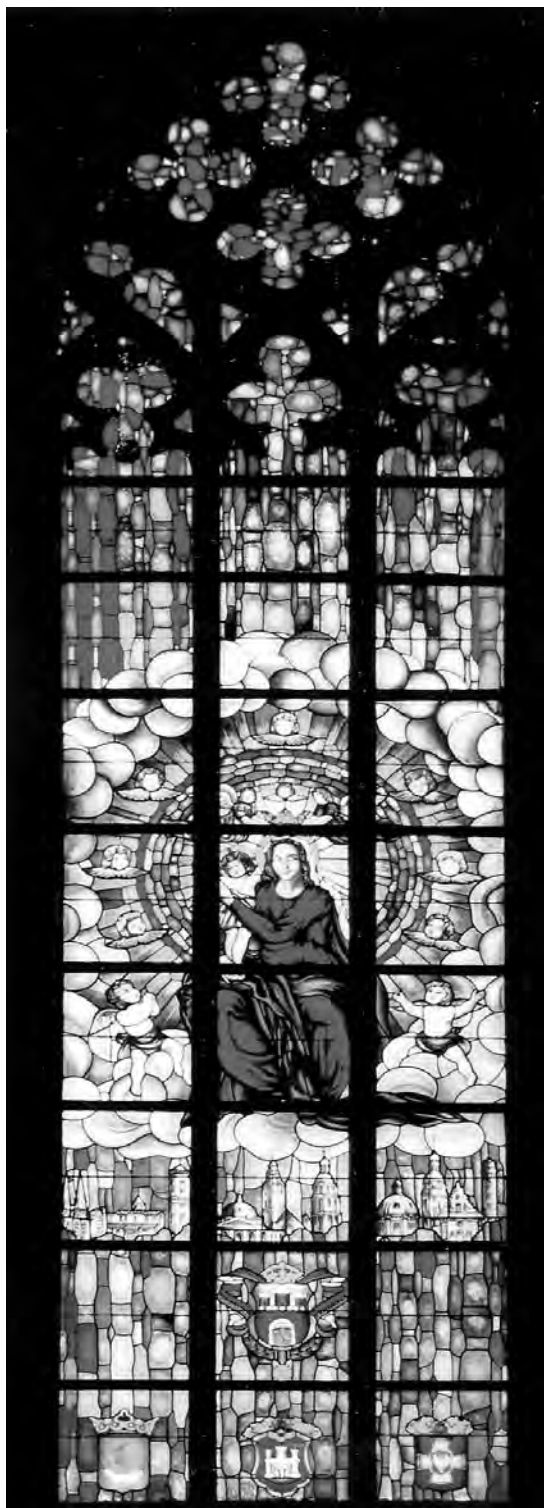
Pozostawał jednak jeszcze drobny margines wolności, skoro pod gmachem Kasy Oszczędności u wylotu ulicy Jagiellońskiej mogłem kupić parę książek wydanych w Polsce.

POD NIEMIECKĄ OKUPACJĄ

Tydzień po niemieckim ataku na Związek Sowiecki pojawili się we Lwowie nowi okupanci. Odwrót czerwonoarmistów był wręcz paniczny. Pamiętam, jak matka wynosiła tym zgłodniałym żołnierzom chleb i jakiś napój. NKWD zdążyło jednak przed odwytem wymordować tysiące ludzi w Brygidkach, na Łąckiego i Zamarstynowskiej. Wstrząśnięci tą zbrodnią, nie byliśmy wtedy świadomi nowego zagrożenia, a przecież parę dni po zajęciu Lwowa przez Niemców rozstrzelano polskich profesorów i członków ich rodzin na Wzgórzach Wuleckich.

Nasze przedmieście Niemcy zajęli wjeżdżając na kilku motocyklach. Zatrzymali się koło naszego domu i rozdawali dzieciom cukierki. Prezentowali się wyśmienicie, świetnie umundurowani, uśmiechnięci. Ludzie pamiętający czasy austriackie żywili cichą nadzieję, że będzie lepiej. Ukraińcy witali Niemców z nieukrywaną radością. 30 czerwca 1941 roku proklamowali we Lwowie odbudowę państwa ukraińskiego. To zapewne w tym czasie przeżyliśmy zaskakujące zdarzenie. Na nasze podwórko weszło dwóch przedstawicieli owej władzy ukraińskiej z poleceniem natychmiastowego wywieszenia flagi ze swastyką i flagi żółto-błękitnej. Moja biedna mama musiała je szybko zszywać z jakiś kawałków, a ja pomagałem jej przy tym. Rządy ukraińskie we Lwowie skończyły się wraz z przyłączeniem Galicji Wschodniej do Generalnego Gubernatorstwa. W dystrykcie Galicji pojawiły się tzw. polskie pieniądze, działała ukraińska policja pomocnicza, a Narodna Torhiwła miała w swym ręku handel. Niemcy nie ruszyli jednak polskich pomników we Lwowie, jak to uczynili w innych miastach nad Sanem.

Podczas niemieckiej okupacji udało mi się ukończyć szkołę powszechną. W ciągu roku uczęszczałem do szkoły Marii Mag-



daleny; jest tu dziś polska Szkoła Średnia nr 10. Pamiętam z tej okupacyjnej szkoły prof. Jaworskiego dzięki wycieczkom po mieście i okolicy, podczas których roztaczał przed nami wizję historycznych bitew na przedpolach Lwowa. Stąd trafiłem na rok do Szkoły Handlowej przy ulicy Skarbowskiej. W dopuszczonym przez okupanta szkolnictwie polskim zajmowała najwyższą pozycję. W programie nauczania była stenografia, księgowość, język niemiecki i parę innych praktycznych przedmiotów.

Pod okupacją niemiecką życie we Lwowie wydawało się spokojniejsze niż w czasach sowieckich, lecz były to tylko pozory. Byłem świadkiem rozstrzelania kilkunastu zakładników (Polaków i Ukraińców) w pobliżu naszej szkoły. Za murami getta na Zamarstynowie zamknięto skazaną na zagładę ludność żydowską, a z terenu obozu janowskiego docierał do nas nieraz swąd palonych ludzkich ciał. Od lata 1943 roku dochodziły do Lwowa wieści o masowych rzeziach ludności polskiej na Wołyniu i ta nienawiść przelewała się stopniowo na obszar Galicji.

W samym Lwowie nie odczuwało się tej groźby. Kiedyś przechodząc przez plac Strzelecki (pod Wysokim Zamkiem) zostałem zaatakowany przez idącą w szeregu grupę ukraińskich uczniów, którzy zerwali mi z głowy czapkę-rogiatywkę i podeptali ją ze złością. W tym czasie naszymi lokatorami byli Ukraińcy, z którymi żyliśmy w zgodzie.

Moim hobby było wówczas lotnictwo. Uczęszczałem na kurs modelarstwa lotniczego, prowadzony przez wykładowcę Politechniki Lwowskiej. Wraz z przyjacielem, Tadeuszem ze Skniłowa, którego ojciec wtedy odbywał loty bojowe na Zachodzie, obserwowaliśmy często z dachu jego domu, co dzieje się na pobliskim lotnisku. Zbieraliśmy z różnych źródeł materiały informacyjne o samolotach różnych krajów.

Opracowałem m.in. duży album pod tytułem „Skrzydłata Polska”. Z czasopisma lotniczego „Der Adler” i z innych publikacji niemieckich czerpaliśmy bogate informacje. By je zdobyć, wykradaliśmy nawet książki z niemieckiej księgarni przy placu Mariackim. Staliśmy się niemal ekspertami w dziedzinie lotnictwa, oczywiście w amatorskim wydaniu. Po wkroczeniu wojsk sowieckich miało to stać się dowodem mojego „przestępstwa”.

Od Wielkanocy 1944 roku zaczęły się naloty sowieckie na Lwów. Bombardowania wieczorne poprzedzane były oświetleniem celów przez opadające powoli „choinki”. W miarę zbliżania się frontu naloty stawały się coraz częstsze, także w ciągu dnia. W pobliżu naszego domu zajęła stanowiska niemiecka artyleria przeciwlotnicza, a u nas kwaterowali żołnierze. Zachowywali się zupełnie przyzwoicie.

Jeden z nich pochodził z Kassel i opowiadał nam o tym, jak zastał całkowicie zniszczone swoje miasto po przyjeździe na krótką przepustkę. Już po opuszczeniu tych stanowisk przez Niemców nadleciały w samo południe eskadry sowieckie i zaczęło się niemiłosiernie bombardowanie naszej Lewandówki i terenów kolejowych. Zginęło wielu cywilów. Bomby padały chaotycznie na te małe domy i ogrody.

Dotarła wreszcie wieść, że Niemcy się wycofują. Tu o ówdzie zaczęły się pojawiać polskie flagi.

Oddział AK podjął walkę w rejonie szkoły, lecz zmuszony został do odwrotu. Zginął wtedy mój starszy kolega. W odpowiedzi na tę akcję niemiecka artyleria ostrzeliwała spod Rzęsny Polskiej przez całą noc i następny dzień Lewandówkę. 24 lipca 1944 roku wkroczyły do miasta główne siły sowieckie.

Nasze przedmieście zaroilo się od wojska i sprzętu bojowego. Była to już inna armia niż ta, którą oglądaliśmy we wrześniu 1939 r. Była lepiej odziana, zaopatrzona w amerykańską żywność. Wojacy z pierwszych oddziałów pytali przede wszystkim o drogę do Berlina.

ZNÓW POD CZERWONĄ GWIAZDĄ

Na naszym podwórku krasnoarmiejcy rozpalili ognisko i zabrali się do gotowania mięsa zdobytego z chłodni na Błoniu Janowskim. Otrzymaliśmy od nich sporą część tej strawy. Nastrój był wręcz swojski. Wszystko zmieniło się po paru dniach, kiedy pojawili się smutni i zadbani agenci NKWD.

Przeprowadzali rewizję, dom za domem. U nas znaleźli nie tylko aparat fotograficzny, który natychmiast skonfiskowali, lecz co gorsze natrafili na moje bogate zbiory związane z lotnictwem, a w tym niemieckie książki i prasę. Kazano mi to wszystko załadować na taczki i pod eskortą musiałem wieźć na

posterunek. Prowadzący mnie enkawudzi-
sta w pewnym momencie powiedział *budiet
tiebia za eto* (Będziesz ty za to miał). Na
posterunku milicji słotczono już dziesiątki
zatrzymanych, prowadząc śledztwo. W za-
mieszaniu udało mi się zbiec i ukrywałem
się przez pewien czas. Miałem wtedy nie-
całe 15 lat, mniej szczęścia miał mój bliski
kuzyn Antoni, starszy ode mnie o dwa lata.
Za przynależność do Armii Krajowej zesłany
został na wiele lat do kopalni ropy naftowej
w Uchcie, za kołem podbiegunowym.

Lwów pod drugą okupacją sowiecką
był już całkowicie innym miastem. Nie było
w nim ludności żydowskiej, zmniejszała się
gwałtownie liczba Polaków, którzy pod na-
ciskiem i w obawie przed aresztowaniem
i wywózką wybierali tułaczkę, opuszczając
swoje ukochane miasto. Wielu dawnych
mieszkańców Lwowa, także Ukraińców, wy-
jechało ze Lwowa jeszcze przed wejściem
Sowietów. Z głębi ZSRR napływały do tego
pięknego miasta fale nowych osadników, dla
których było ono obce kulturowo i cywiliza-
cyjnie. Pogłębiała się degradacja społeczna
Lwowa. Zamykano kolejne polskie szkoły,
zmieniając je na rosyjskie. Najdłużej broniły
się kościoły.

Rok szkolny 1944–1945 upłynął mi
w ósmej klasie szkoły średniej przy ul. Szy-
monowiczów.

Mieliśmy dla porównania tygodniowo
8 godzin rosyjskiego, 8 godzin ukraińskiego
i 2 godziny polskiego. Przedwojenna kadra
nauczycielska zapewniała nam stosunkowo
wysoki poziom nauczania.

Przyznaję, że bojkotowaliśmy wyraźnie
lekcje języka ukraińskiego, chociaż pozos-
tał mi w pamięci nasz nauczyciel, lwowski
Ukraińiec, który usiłował prowadzić z nami
kulturalny dialog na szersze tematy doty-
czące stosunków między naszymi naroda-
mi. Wtedy jednak były to sprawy odległe.
W dniu zakończenia roku szkolnego mę-
ską część klasy zatrzymano nagle i skiero-
wano na przeszkolenie wojskowe. Szliśmy
z lwowskimi pieśniami na ustach, oklaski-
wani przez przechodniów i przekupki na
placu Unii Brzeskiej, do miejsca skoszarowa-
wania na Kleparowie. Naszym „komandi-
rom” nie udało się wymusić na nas pieśni
sowieckich. Pewnego dnia, podczas ćwiczeń
terenowych pod Lwowem, wybuchła w po-
bliżu strzelanina, nasi dowódcy obawiając

się banderowców rozkazali nam skryć się
w okopach. Na szczęście skończyło się na
krótkim strachu.

Nasza polska szkoła została przekształ-
cona w rosyjską i trzeba było szukać nowe-
go miejsca nauki.

Przeniósłem się do odległej szkoły na
Żelaznej Wodzie, skąd wkrótce trafiłem do
popularnego w ówczesnym Lwowie „Kudry-
ka”. Tak nazywano szkołę średnią przy ulicy
Kordeckiego (na wschód od Dworca Głównego).
W tej pocziwiej „budzie” świętowaliśmy
konspiracyjnie Boże Narodzenie 1945 r.

Wtajemniczeni w tę uroczystość pedago-
dzy odwiedzali kolejne klasy, gdzie składano
sobie wzajemne życzenia. Był wśród nich
wicedyrektor szkoły Ludwik Bazyłow, zna-
ny później historyk. Świadomość rychłego
rozstania wpłynęła na wzruszający nastrój
owego spotkania.

W połowie kwietnia 1946 roku nasz do-
bytek wciśnięty w dwie duże skrzynie za-
ładowaliśmy do wagonu, podstawionego
wraz z całym składem pociągu towarowego
pod rampę przy moście na Lewandówkę.
Po dłuższym postoju, związanym z kom-
pletowaniem kolejnej grupy tzw. repatrian-
tów, pociąg ruszył. Rozległy się szlochy
kobiet, którym towarzyszyły przekleństwa
mężczyzn. Jak w tradycyjnej lwowskiej pio-
senie, z dała widać było już niestety wieże
kościoła św. Elżbiety. Nasz pociąg zanurzał
się w zapadający zmrok. Rankiem powitali-
śmy z radością Przemyśl, promieniujący na
każdym kroku polskością. Było to wzrusza-
jące przeżycie. Korzystając z postoju, wpa-
dliśmy z ojcem na chwilę do kuzynostwa;
wyjechali oni wcześniej ze Lwowa. Odtąd
będziemy jeszcze długo podążać śladami
rodziny, rozproszonej po całym kraju, prze-
ważnie na Śląsku. Po tygodniu repatriacyj-
nej eskapady dowieziono nas do zrujnowa-
nego Wrocławia, który wkrótce okazał się
być nowym Lwowem.

MOJE POWROTY DO LWOWA

Tradycje lwowskie miały jeszcze długo
towarzyszyć wychodźcom z Lwiewo Gro-
du. Lwowską atmosferą żyły uczelnie Wro-
cławia. Podczas naszych studenckich wę-
drówek geograficznych towarzyszyła nam
zawsze piosenka lwowska. Powoli jednak
zachowane w pamięci rodzinne miasto
rozpływało się we mgle coraz rzadszych

wspomnień. Zapadła bariera oficjalnego milczenia. Oddzielony niedostępną granicą Lwów stał się tematem tabu.

Pierwsza szansa zobaczenia drogiego miasta nadarzyła się latem 1959 roku, w czasie politycznej odwilży. Wziąłem udział w wycieczce zorganizowanej przez Polskie Towarzystwo Geograficzne trasą wówczas niezwykłą. Pociągiem z Warszawy do Moskwy i Stalingradu, dalej statkiem do Astrachania i deltą Wołgi oraz przez Morze Kaspijskie do Baku nasza blisko 30-osobowa grupa podróżowała bez radzieckiego pilota. Zaopiekowano się nami jednak na Kaukazie, skąd dopiero dotarliśmy pociągiem do Lwowa. Wzruszające do łez było dla mnie spotkanie z miastem po dwunastu latach. W trakcie zwiedzania z przewodnikiem Cmentarza Łyczakowskiego udało mi się wraz z kolegą oderwać od grupy i dotrzeć do Cmentarza Obrońców Lwowa. Kolumnada okazałego Pomnika Chwały jeszcze stała, ale wśród zarośniętych chwastami mogił spotkalimy grupę miejscowych dzieci, rozmawiających ze sobą po polsku. Udałem się także na Lewandówkę i zajrzałem na chwilę do rodzinnego domu, gdzie nowi rosyjscy gospodarze przyjęli mnie życzliwie. Pochodzili z Saratowa. Do naszego lwowskiego domu zaglądała jeszcze później parę razy moja siostra z mężem i synami. Kiedy po latach znalazłem się tutaj znów, stał już w tym miejscu wielopiętrowy wieżowiec. Wysoka zabudowa zmieniła oblicze dawnej Lewandówki, pozostawiając jedynie relikty przedwojennej zabudowy. Podobnie zmieniły swój wygląd inne przedmieścia Lwowa, na terenach wsi Sichów wyrosła ogromna dzielnica mieszkaniowa.

Lwów w swoim rozległym śródmieściu, bogatym w zabytki, pozostał na szczęście prawie nietknięty.

Fascynuje jak dawniej piękną architekturą, wkomponowaną w malowniczy krajobraz lesistych wzgórz Roztocza. Stał się miastem stosunkowo łatwo dostępnym dla Polaków zza miedzy, jednakże po okresie wzmożonego zainteresowania na początku lat dziewięćdziesiątych opadła wyraźnie związana z nim fala emocji i dziś zdecydowanie mniej polskich wycieczek przyjeżdża do Lwowa. Jest więc wyraźna potrzeba promocji gospodarczej, kulturalnej i turystycznej tego miasta właśnie w Polsce.

W ostatnim dziesięcioleciu odzyskałem mój Lwów dla siebie. Pomogły mi w tym liczne wyjazdy w różnych celach. Prowadziłem wiele wycieczek do Lwowa i dalej – na Podole, Wołyń, Huculszczyznę, Bukowinę. Działając w Towarzystwie Polska–Ukraina (założonym w grudniu 1991 roku) uczestniczyłem w wielu spotkaniach i konferencjach, poświęconym sprawom sprzyjającym dialogowi i wzajemnej współpracy między naszymi krajami i narodami.

Gościwym miejscem niektórych naszych spotkań był dawny pałac Sapiehów przy ulicy Kopernika; jest on siedzibą lwowskiego oddziału Ukraińskiego Towarzystwa Ochrony Zabytków Historii i Kultury. Rozwija się nasza współpraca z Federacją Organizacji Polskich na Ukrainie. Ostatnio prezentowałem możliwości aktywizacji turystycznej miasta na międzynarodowym spotkaniu architektów na Politechnice Lwowskiej, zorganizowanym z okazji wpisania Lwowa na *Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO*.

Żyję na bieżąco sprawami rodzinnego miasta, widząc jego znaczną szansę rozwojową w nowej integrującej się Europie.

MY, LWOWIACY

Do czyich rąk ostatni z nas odda chorągwi drzewce? Komu przekaze, gdy nadejdzie czas, aby ją cało niósł do domu?

Gdzie są te ręce, w które my oddamy nasze gwiazdy, szarfy, pieśni, marzenia, struny, harfy, przysięgi, krzyże, wiersze, lwy?...

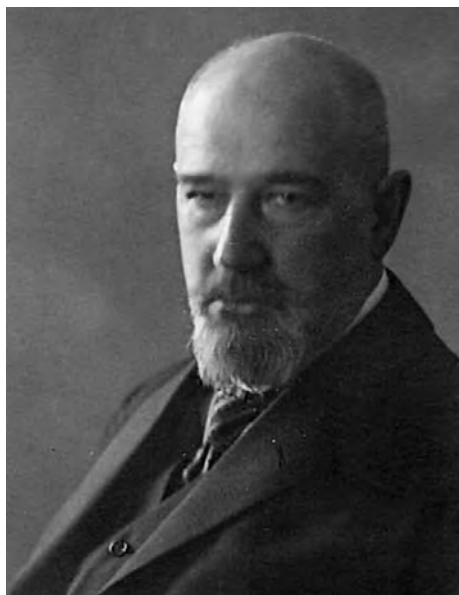
Po wszystkich dolach i odmianach, ucieczka kończy się powrotem. Synu, pamiętaj tylko o tem, że miłość wraca na kolanach

Marian Hemar

Stanisław Alexandrowicz

**Wieloletni dyrektor Miejskich Zakładów Wodociągowych we Lwowie.
Ze wspomnień o rodzinach lwowskich**

Najstarszym synem mego dziadka Adolfa Alexandrowicza i jego pierwszej żony był mój stryj Stanisław, który urodził się w 1870 roku we Lwowie. Tu ukończył szkoły i studia na Politechnice Lwowskiej. W latach 1891–1892 brał udział w konspiracyjnej młodzieżowej organizacji „Biały Orzeł”. Studia na Wydziale Inżynierii ukończył w 1893 r. i rozpoczął pracę jako urzędnik Miejskiego Urzędu Budowlanego. W latach 1895–1896, po odbyciu służby wojskowej w armii austriackiej, pracował w biurze techniczno-drogowym Wydziału Krajowego, później jako asystent techniczny Magistratu. W tym czasie był zajęty projektowaniem drogi do Brzuchowic oraz regulacją struktur miejskich, między innymi budową nowej rzeźni miejskiej. W r. 1898 gmina m. Lwowa wysłała go na zapoznanie się z budową nowoczesnych wodociągów do Niemiec, Szwajcarii i Austrii, co pozwoliło mu zwiedzić szereg zakładów wodociągowych, głównie w Niemczech. W Mannheim n. Renem pracował pod kierunkiem wybitnego fachowca inż. Oskara Smrekera w jego biurze projektowym przy budowie wodociągu dla m. Rheinau k. Mannheim. Tenże inż. Smreker w 1899 r. na zaproszenie Magistratu m. Lwowa rozpoczął budowę lwowskich wodociągów z pierwszym ujęciem wody w Woli Dobrostańskiej. Inżynier Alexandrowicz w tej pracy uczestniczył, a później sam ją kontynuował. W lipcu 1900 r. został mianowany „kierownikiem ruchu Miejskich Zakładów Wodociągowych”. Na tym, później dyrektorskim (od 1904 r.) stanowisku pozostał już do śmierci. W latach 1906–1914 jego zasługą był rozwój urządzeń wodociągowych w Woli Dobrostańskiej oraz opracowanie nowego ujęcia w Szkle. Lata 1914–1918 to okres ogromnych wysiłków inż. Alexandrowicza. Tocząca się wojna i zajęcie miasta w okresie 1914–1915 przez wojska rosyjskie na prawie 10 miesięcy nie spowodowały zaprzestania działalności Zakładów Wodociągowych i woda była dostar-



czana mieszkańcom mimo wielkich trudności w utrzymaniu w ruchu stacji pomp. Dopiero gdy w okresie 1918–1919 toczyła się wojna domowa pomiędzy narodowymi wojskami ukraińskimi i polskimi obrońcami miasta, żołnierze ukraińscy zajęli Wolę Dobrostańską i przerwali dopływ wody do miasta, urządzenia zaś stacji wodociągowej znacznie zdewastowali. Wówczas stryj mój mimo ogromnych trudności zdołał zorganizować wybudowanie we Lwowie kilkudziesięciu studzien wierconych, z których przez miesiące oblężenia ukraińskiego mieszkańcy miasta zaopatrywali się w wodę. Po ustąpieniu wojsk ukraińskich z Woli Dobrostańskiej w ciągu dwóch miesięcy pracownicy Zakładów Wodociągowych zdołali ponownie uruchomić tę stację i przywrócić zaopatrzenie miasta w wodę. Lwowskie Zakłady Wodociągowe, które stryj mój obejmował w początkach rozwoju, były sensem całego jego życia. Trzydzieści cztery lata spędzone w służbie komunalnej miasta to rzadkość.



Po ustaniu działań wojennych w latach 1922–25 inż. Alexandrowicz uzyskał kredyty na rozbudowę wodociągów i zbudował nowe ujęcie w Szkle, w 1927 r. zaś – przepompownię w Karaczynowie, a w 1929 r. – nowe ujęcie w Wielopolu. Jego niewątpliwą zasługą był rozwój Lwowskich Zakładów Wodociągowych. Woda dostarczana przez te zakłady przewyższała jakością wodę w innych miastach polskich, gdyż ujęcia w Woli Dobrostańskiej, Wielopolu i Szkle pobierały wodę w pobliżu źródeł rzek (m.in. Wereszycy), co pozwalało uzyskiwać jej wysoką jakość jeszcze przed filtracją. Nie miały tego miasta, które pobierały wodę z rzek zanieczyszczonych ściekami (Warszawa, Kraków, Poznań). Dzięki tym inwestycjom w dniu śmierci stryja w 1934 r. Lwowskie Zakłady Wodociągowe przygotowywały się do zaopatrywania miasta 450-tysięcznego, czyli o połowę większego od ówczesnego Lwowa. Tragiczna śmierć stryja nie pozwoliła na realizację osobistą planowanych inwestycji.

Jak doszło do tej śmierci? Stryj Stanisław, człowiek już wówczas 64-letni, pojechał do Jastarni na urlop. Od wielu lat spędzał urlopy nad morzem. Przed I wojną światową jeździł z moim ojcem do plaż nad austriackim fragmentem Adriatyku, ale po odzyskaniu niepodległości odwiedzał polski Bałtyk. Pływał podobno dobrze, jednak wiek i lata pracy urzędniczo-biurowej oraz cukrzyca zapewne nie sprzyjały dobrej kondycji. 22 lipca 1934 r., jak wynika z opisu świadków wypadku, dzień był dość pogodny i nie było

ograniczeń kąpeli. Ale chwilami zrywały się podmuchy silnego wiatru tworzące dość wysokie fale. Fale te, czy też wiatr, znosiły pływających na morze. Stryj uchronił od tego jakiegoś chłopczyka, którego, jak zeznawała później p. Zofia Cybulska, taka fala unosiła w morze. Ale nieco później usłyszała ona krzyk kogoś wołającego o pomoc.

Usłyszała też, że stryj zawołał do plażowiczów: „Panowie, zróbmy łańcuch i pływamy na pomoc”. Jednak nikt z pomocą taką nie pospieszył. W tej sytuacji stryj, człowiek wielkiej prawości, uznał zapewne za konieczne ratowanie tonącej i nie licząc się ze swymi możliwościami, popłynął w jej stronę. Jak się później okazało, była to nauczycielka gimnazjum z Borysławia, panna Ewa Huppert. Niestety sam w walce z nasilającymi się falami nie podołał. Dopłynął wprawdzie do tonącej, ktoś widział, jak podaje jej rękę, ale kolejna fala zatopiła ich oboje. Ratownicy, którzy nieco później podплыли łodzią i wydobyli stryja i ratowaną przez niego p. Huppert, dłuższy czas starali się reanimować ich, jednak było to już bez powodzenia. Uroczystości pogrzebowe odbyły się we Lwowie. Przemawiający nad grobem prezydent Lwowa W. Drojanowski oraz przedstawiciele wodociągowców innych miast mówili o zasługach zmarłego dla Zakładów Wodociągowych Lwowa, którymi stryj kierował, jak już wspominałem, przez 34 lata.

Granitowy grobowiec na 78. polu Cmentarza Łyczakowskiego to dziś jedyna pamiątka po dyrektorze, twórcy nowoczesnych wodociągów lwowskich. Kiedy odwiedzałem Lwów pierwszy raz po wojnie – w 1997 roku – grobowiec był częściowo zarośnięty krzakiem jakimś i zielskiem różnorodnym, z którymi niełatwo było się uporać. Prawie milionowy Lwów, „stolica” Zachodniej Ukrainy, miał znaczne trudności z zaopatrzeniem mieszkańców w wodę. Mój znicz pozostawiony na grobowcu stryja płakał roztopioną parafiną...

Stryj Stanisław nie był żonaty. Ale kiedy w 1914 roku w czasie ofensywy wojska rosyjskie zajęły przejściowo Lwów, obie jego starsze siostry mieszkające z nim w jego mieszkaniu służbowym, Aniela i Michalina, były ewakuowane i przez ok. roku były u dalszych krewnych w Ostrawie Morawskiej. Stryj pozostał we Lwowie i nawet rosyjskie władze okupacyjne pozostawiły go na stanowisku dyrektorskim. Gdy ciotki po ponad rocznej nieobecności powróciły do Lwowa do mieszkania stryja przy ul. Zielonej 62, były mocno zdziwione, że służąca stryja opiekuje się noworodkiem. Tym noworodkiem okazała się córka jej i stryja, po ojcu nazwana Stasia. Małżeństwo dyrektora poważnej instytucji komunalnej ze służącą było w tych czasach



nie do pomyślenia i prawdopodobnie byłoby równoznaczne z utratą stanowiska. Pozycja stryja zapewniała wówczas egzystencję siostr i młodszego brata i stryj musiał się też z tym liczyć. Jak wspominałem, był to czas wojny i trudnych warunków życia. Stryj dał jednak córce swoje nazwisko, zapewnił matce i dziecku odpowiednie warunki bytu, a następnie środki pozwalające na zdobycie pełnego wyższego wykształcenia. Stanisława po ukończeniu szkoły pedagogicznej była nauczycielką. W latach trzydziestych wyszła za mąż za pana Zdąbłasza, także nauczyciela, i mieszkała we własnym domu, zbudowanym staraniem stryja, we Lwowie. Ja w dzieciństwie nie znałem ich; jako „smarkacz” nie byłem dopuszczony do tego rodzaju tajemnicy rodzinnej. Dopiero, kiedy miałem 18 lat, powiedziano mi, że mam kuzynkę. Do spotkania doszło jednak dopiero w 1947 r. we Wrocławiu. Poznałem wówczas Stasię, jej matkę, męża i troje dzieci. Obecnie żyje ich córka lekarka Maria Osińska. O synu i drugiej córce Zdąbłaszków nic nie wiem, ale matka moja do ostatnich lat życia utrzymywała ze Stasią korespondencję.

Tragiczna śmierć Stryja miała również społeczny wydźwięk. Jego wyrazem była ochronka, zbudowana częściowo z funduszków uzyskanych z ubezpieczenia wypłaconego po śmierci stryja przez towarzystwo ubezpieczeniowe „Florianka” siostrze stryja, a mojej ciotce Michalinie, i nazwana Jego imieniem. Fundacją tą zajęła się ciotka

Aniela Alexandrowicz będąca wówczas emerytowaną nauczycielką, od lat czynna działaczka Towarzystwa Szkoły Ludowej (TSL), powstałego głównie z inicjatywy Adama Asnyka. Podjęła ona starania stworzenia fundacji, w której partycypowały między innymi panie z koła TSL, pracownicy wodociągów oraz gmina miasta Lwowa. Budowę ochronki ukończono w 1937 roku. 21 września

tegoż roku arcybiskup lwowski dr Bolesław Twardowski dokonał uroczystego poświęcenia tej ochronki. Ja, 11-letni wówczas smarkacz, brałem udział w tej uroczystości jako członek rodziny ofiarodawców. Siedziałem z głupią miną w pierwszym rzędzie uczestników uroczystości wraz z biskupem i innymi oficjalnymi osobistościami, no i na moje szczęście z rodzicami.



Tablica pamiątkowa na budynku ochronki



Aniela Alexandrowiczówna

Opracowałem na podstawie posiadanych dokumentów rodzinnych, gazety z sierpnia 1934 r. „Gaz i Woda” nr 8, „Kuriera Lwowskiego” z 1 sierpnia 1934 r., zachowanych wycinków z innych gazet lwowskich z ostatnich dni lipca 1934 r. oraz ze wspomnień własnych.

Józefa Anna Kędzierska

Brody

pamiętamy i kochamy!

Kołem Przyjaciół Brodów po śmierci założycielki S. Vallis-Schyleny od 2005 r. kieruje przewodniczący Zygmunt Huzarski (Legnica) wraz z sekretarzem – „prawą ręką” Krystyną Milerską (Katowice) i członkami zarządu Wacławem Fastnacht (Kraków) i Teresą Ponikowską (Wrocław).

Spotykamy się w czerwcu na corocznym Ogólnopolskim Zjeździe w Wiśle w hotelu „Start” – w tym roku będzie to po raz 23., a także od 2006 roku na zjazdach regionalnych (Górny i Dolny Śląsk) w gościnnych parafiach – we wrześniu przy kościele Ewangelicko-Augsburskim pw. Zmartwychwstania Pańskiego w Katowicach oraz w marcu przy kościele pw. św. Wojciecha oo. Dominikanów we Wrocławiu.

Frekwencja na zjazdach ogólnopolskich waha się od 30 do ok. 60 gości, a na regionalnych od 20 do 30. Na zjazdach omawiane są bieżące sprawy Koła, wygłaszane są interesujące referaty dotyczące głównie Brodów i ich znanych byłych mieszkańców. Referentami są zazwyczaj członkowie naszego Koła – Zbigniew Kościów, Wacław Fastnacht, Joanna Nasiek i inni. Prowadzone są również długie przyjacielskie Polaków rozmowy.

Koło nasze w pierwszym okresie działalności skupiało się głównie na pomocy materialnej dla naszych rodaków (przekazywanie odzieży, żywności, leków, sprawowanie opieki nad uzdolnionym uczniem z Brodów w krakowskiej szkole (przez W. Fastnacha), a także w latach 2000–2010 na wspieraniu finansowym budowy nowego kościoła rzymskokatolickiego, zakupie niezbędnych elementów wyposażenia kościoła: zyrandola, kinkietów, organów, krzyża proce-

syjnego, szat liturgicznych itp. Szczególnym wsparciem tej inwestycji było przekazanie poważnej kwoty przez rodowitą brodziankę, śp. prof. dr hab. Oktawię Górniok.

Kontakt z Brodami utrzymujemy poprzez współpracę z księdzem proboszczem Anatem Szpakiem oraz zespołem ss. sercanek, pracujących okresowo w tej parafii.

Systematycznie przekazujemy siostron pewne kwoty pieniężne na zorganizowanie wieczerzy wigilijnej i śniadania wielkonoctnego dla mieszkających tam Polaków i członków wspólnoty parafialnej, a także na zakup zniczy. Znicze te siostry zapalają na cmentarzu brodzkim, zastępując nas – brodzian – w Dzień Zaduszny w spotkaniu z naszymi śp. bliskimi Zmarłymi, którzy tam spoczywają, oraz na mogiłach żołnierskich obrońców naszej Ojczyzny w kwaterze wojсковей cmentarza.

Krystyna Milerska – sekretarz – niezwykle starannie, profesjonalnie i z sercem prowadzi Kronikę Koła, czuwa nad terminowym, rzeczowym i estetycznym opracowaniem sprawozdań z naszej działalności, rozsyłaniem ich do wszystkich członków, prowadzi finanse Koła, organizuje zjazdy regionu Górny Śląsk w Katowicach. W 2009 r. z jej inicjatywy założona została również strona internetowa Koła Przyjaciół Brodów (www.brodzianie.pl). Można się z nami kontaktować również poprzez e-mail: brodzianie@gmail.com.

Teresa Ponikowska – członek zarządu – organizuje zjazdy regionalne regionu Dolny Śląsk we Wrocławiu, jak również utrzymuje kontakt z siostrami sercankami w Brodach.

Przewodniczący Koła Zygmunt Huzarski organizuje zjazdy ogólnopolskie w Wiśle, a jego szczególną zasługą jest zorganizowanie bardzo wyczekiwanych wycieczek do Brodów. Było ich pięć w latach 2006–2010 i pozwoliły one nam poznać z bliska dzisiejsze nasze miasto i miejscowych Rodaków.

Polaków pozostało w Brodach bardzo niewiele, gdyż już w 1944 r. Niemcy przeprowadzili masową ewakuację ludności z miasta w związku z planowanym tam frontem, a dzisiaj jest ich naprawdę mało. Mimo tego warto odnotować, że w 2013 r. powstała w Brodach filia bardzo aktywnego Związku Polaków „Orzeł Biały”, utworzonego we Lwowie w lipcu 2011 r.

W mieście widać skutki działań wojennych. W miejscu przedwojennej zabudowy jest szereg domów powojennego budownictwa na Rynku i ul. I. Franki (Goldharomera), nie ma ciągu sklepów na środku Rynku, jest natomiast duży gmach władz administracyjnych, przed nim pomnik poety Tarasa Szewczenki, budynek poczty, jest kilka kantorów wymiany walut. Nasz kościół parafialny przy ul. Kościelnej, zamieniony na cerkiew grekokatolicką z dobudowanymi kopułami, stracił swój renesansowy charakter, a co gorsza na bocznych ścianach zarysowują się pęknięcia. Wewnątrz pozostała jedynie ta sama białoczarne granitowa posadzka. Zabytki, takie jak zamek Koniecpolskich (później Potockich) z XVII wieku, czekają na odnowienie, kazamaty po twierdzy brodzkiej są zniszczone, zarośnięte zielskiem, w pałacu mieści się szkoła, ale zewnętrzna część budynku jest bardzo zniszczona; synagoga z XVII wieku – w stanie katastrofalnym; cerkiew pw. Narodzenia Bogurodzicy w idealnym stanie, ulica Żłota dobrze utrzymana, zaopatrzenie sklepów dobre, wyraźnie odbiegające od sytuacji z lat dziewięćdziesiątych. Budynek nr 11 przy ul. Żłotej, w którym mieściła się księgarnia i drukarnia Feliksa Westa, jest w dobrym stanie, na ścianie frontowej mile dla nas akcenty polskie: 4 medaliony wieszczów (A. Mickiewicza, J. Słowackiego, I. Krasińskiego i J. Korzeniowskiego), park miejski Rojekówka na obecnym Placu Swobody dobrze utrzymany: jest wieża zegarowa, ławeczki, fontanna, brak tylko pomnika Józefa Korzeniowskiego, a jest pomnik poświęcony ofiarom bolszewickich represji. Na jednej ze ścian placu znajduje się Muzeum Historyczne, w którym w jednej z gablot widniał napis *Ukraina pod okupacją Polski*, który w wyniku interwencji przedstawiciela naszego Koła został zmieniony na *Ukraina w składzie terytorialnym Polski* (trochę lepiej brzmi). Na terenie koszar

22 Pułku Ułanów znajduje się ukraińska jednostka wojskowa, budynek Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” służy celom kulturalnym (zostaliśmy raz nawet zaproszeni przez mera Brodów na występ młodej piosenkarki ukraińskiej), budynki przedwojennej Gimnazjum Męskiego i Sądu Grodzkiego w dobrym stanie, dworzec i stacja kolejowa bardzo dobrze utrzymane (możemy brać z nich przykład), przy ul. Jurydyki wybudowano nowoczesny hotel Europa, w którego apartamentach mieszkaliśmy w czasie wycieczek. Bardzo zły jest natomiast stan dróg i chodników i poza centrum miasto jest wieczorem nieoświetlone.

Celem ostatniej naszej wyprawy do Brodów w 2010 r. było uczestnictwo w uroczystości poświęcenia w dniu 22 maja przez arcybiskupa Mieczysława Mokrzyckiego nowego kościoła pw. Podniesienia Krzyża Świętego.

Kościół w nowoczesnym stylu, wewnątrz wydaje się jakby zbudowany na kształcie koła, a na zewnątrz ma 3 przybudówki nakryte graniastymi wieżyczkami, w jednej jest ołtarz główny, a dwie boczne poszerzają wnętrze kościoła i są tam wejścia na chór. Kościół usytuowany jest przy ul. Kolejowej blisko dworca kolejowego.

W naszym Kole obserwujemy radosne fakty włączania się do jego działalności dzieci naszych starszych wiekiem członków. Takim przykładem jest Barbara Bzymek z d. Fastnacht, która nawiązała kontakt z Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń



XXII Zjazd Brodzian, 2014 r.



i Przesiedleń Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, i niektórzy z naszych członków zarejestrowali swoje doświadczenia życiowe w tym zakresie. Prowadzi również bardzo ożywioną korespondencję z internautami na temat losów Brodzian mieszkających na całym świecie, pośredniczy w kontaktowaniu się zainteresowanych, stara się załatwiać ich problemy i mimo krótkiego czasu działania może mieć wiele satysfakcji z tej pracy.

Zachęcam więc, aby w podróży na Kresy odwiedzić Brody, zobaczyć nowy kościół, wymienione wyżej zabytki, a także cmentarz brodzki, na którym znajduje się kwatery wojenna będąca jednym z największych cmentarzy wojskowych na Kresach z okresu 1914–1920. Na cmentarzu tym spoczywa ok. 3000 poległych żołnierzy i legionistów – obrońców naszej ojczyzny z okresu I wojny światowej i wojny bolszewickiej. Znajduje się tam też grób Nieznanego Żołnierza w formie głazu z tablicą metalową o treści *Nieznanemu Żołnierzowi*, z Krzyżem Virtuti-Militari, który wymaga natychmiastowej renowacji.

W czasie II wojny światowej i w powojennym pięćdziesięcioleciu cmentarz ten został całkowicie zaniedbany, zarośnięty trawami, krzakami i drzewami. Koło Brodzian od początku swego istnienia starało się go ratować – poprzez listowne prośby kierowane do Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa o konieczności restauracji cmentarza. Rada stale miała pilniejsze sprawy do załatwienia i przesuwiała terminy. W 2011 r. członkowie Stowarzyszenia Huta Pieniacka w ramach Motocyklowego Zlotu odwiedzając Brody – gdy zobaczyli

tragiczny stan tego cmentarza – postanowili podjąć próbę ratowania go własnymi rękami.

I tak w latach 2012, 2013 i 2014 członkowie Stowarzyszenia Huta Pieniacka oraz motocykliści w czasie kolejnych Zlotów Huta Pieniacka, jak również koledzy – uczestnicy Motocyklowego Rajdu Katyńskiego ciężko pracowali, zamieniając dżunglę we fragment godnego miejsca spoczynku dla pochowanych tam poległych naszych bohaterów walk o wolność. W pracach tych uczestniczyli także mieszkańcy Brodów, szczegól-

nie zaangażowany był organista naszego kościoła Włodzimierz Olszewski.

Dzięki niesłuchanemu wysiłkowi tych ludzi w 2014 r. wyrosło około 300 nowych kamiennych krzyży identycznych z pierwotnymi – przedwojennymi. Widok tych krzyży ustawionych równo rzędami, przepasyanych biało-czerwonymi szarfami, wywołuje radość i łzy wzruszenia. Przebieg prac na cmentarzu w poszczególnych latach można prześledzić na zdjęciach na stronie internetowej Stowarzyszenia Huta Pieniacka (ok. 130 zdjęć). Pracami kierują komandor Zlotów Huta Pieniacka Adam Świtalski oraz prezes Stowarzyszenia Huta Pieniacka we Wschowie Małgorzata Gośniowska-Koła, na której barkach spoczywa też cały ciężar spraw organizacyjnych.

W 2013 r. wybrałam się indywidualnie do Brodów, aby poznać tych nadzwyczajnych (moim zdaniem) Rodaków, którzy nie tylko mówią o patriotyzmie, ale nim żyją, realizując społecznie tak piękne zadanie jak ratowanie polskich miejsc pamięci na Kresach.

W 2013 r. na cmentarzu wojskowym umieszczono i poświęcono wysoki pięciometrowy krzyż drewniany i przy tym krzyżu oraz przy Grobie Nieznanego Żołnierza odbyła się wzruszająca uroczystość patriotyczno-religijna z udziałem motocyklistów zarówno ze Zlotu Huta Pieniacka, jak i Rajdu Katyńskiego, przedstawiciele Konsulatu RP we Lwowie, mera Brodów, proboszcza kościoła rzymskokatolickiego w Brodach, ks. A. Szpaka, kapelana Rajdu Katyńskiego ks. Marka Kiedrowicza, siostr sercanek Alicji i Śnieżanny, prezesa Stowarzyszenia

Huta Pieniacka Małgorzaty Gośniowskiej-Koli, Komandora XIII Motocyklowego Rajdu Katyńskiego Wiktora Węgrzyna, Komandora IV Motocyklowego Złotu Huta Pieniacka Adama Świtalskiego, mieszkańców Brodów i mojej skromnej osoby.

Po poświęceniu Krzyża i modlitwach odbyło się uroczyste – według ceremoniału wojskowego, ze sztandarami – złożenie kwiatów i zapalonych zniczy. W swoich wypowiedziach zarówno księża, jak i prowadzący uroczystość komandor Leszek Rysak serdecznie dziękowali spoczywającym na tym cmentarzu cichym bohaterom – żołnierzom i legionistom poległym za wolną Polskę, a uczestników prosili o modlitwę i pamięć o nich. Wszyscy modlili się w skupieniu, a na zakończenie uroczystości odśpiewaliśmy marsz I Brygady – *Legiony to żołnierska nuta...* Następnie komandor Rysak zaprosił chętnych do przejścia pod Pomnik Powstańców Styczniowych, znajdujący się w kwaterze głównej cmentarza brodzkiego, który społeczność brodzka ufundowała w 1864 roku dla upamiętnienia Powstania Styczniowego. Tutaj też złożone zostały kwiaty, zapalono znicze, modlitwę poprowadził kapelan Rajdu ks. M. Kiedrowicz, a ja opowiedziałam zebranym historię tego Pomnika na podstawie artykułu Feliksa Westa, zamieszczonego w jednodniówce wydanej w 1934 r. z okazji XV rocznicy Niepodległości Ziemi Brodzkiej i zjazdu organizacji niepodległościowych.

Pomnik ten, umiejscowiony blisko dzwonnicy, to złamana kolumna z białym orłem na górze i emblematami powstańczymi na dole, wokół której znajduje się grób 6 uczestników bitwy pod Radziwiłowem w 1863 r., zmar-



Pod pomnikiem Powstańców Styczniowych

łych w wyniku odniesionych ran w brodzkim szpitalu. Pomnik po upadku powstania, jak i w II Rzeczypospolitej był miejscem spotkań uczestników (mieszkańców Brodów i okolicznych miejscowości) obchodów związanych z patriotycznymi rocznicami i świętami narodowymi.

W wyniku działań w okresie II wojny światowej i zniszczeń powojennych pomnik zaginął i nie został zidentyfikowany w czasie inwentaryzacji cmentarza w Brodach w latach 2010–2011, przeprowadzonej przez Anatola Sulika z Kowla na zlecenie Ministerstwa Kultury RP. Wydawało się więc, że pomnik ten jest już stracony i dlatego Koło Brodzian zwróciło się do Rady OPWiM z prośbą o odbudowę tego pomnika. Tym-

czasem wspomniany wyżej Związek Polaków „Orzeł Biały” niespodziewanie dokonał odrestaurowania Pomnika Powstańców Styczniowych i w związku z przypadającą w 2013 roku 150. rocznicą Powstania Styczniowego w dniu 20 września odbyło się uroczyste ponowne odsłonięcie i poświęcenie pomnika przez trzech duchownych katolickich.

Członkowie naszego Koła są pełni podziwu i wdzięczności dla wszystkich, którzy przyczynili się do przywrócenia na Cmentarzu dzieł naszych przodków.



Tarnopolanie i ich kolejny Zjazd

Anna Madej

Ostatnia relacja ze Zjazdu Tarnopolan ukazała się w „Cracovia-Leopolis” w 2012 r. (nr 3) i kończyła słowami, że następny zjazd będzie bez atrakcji turystyczno-artystycznych, ale tylko po to, żeby się spotkać i być ze sobą. Niestety ta koncepcja nie była dobra. Ludzie nie mogą być pozostawieni samymi sobie, trzeba im czas zorganizować, szczególnie ludziom starszym. Dlatego na kolejnym zjeździe (XXVIII), który odbył się w Nysie, powrócono do tradycyjnej formuły. Zjazd w Nysie w 2014 r. był bardzo udany, tym bardziej że przyjechali nań ludzie, którzy po raz pierwszy na taki zjazd dotarli. Byli to tarnopolanie (razem było nas ponad 70 osób) głównie z Opolszczyzny, dla których odległość była ważna, co potwierdził tegoroczny zjazd w odległym Toruniu, na który przyjechało tylko ok. 40 osób.

XXIX Zjazd Byłych Mieszkańców Ziemi Tarnopolskiej (taka jest oficjalna nazwa) miał miejsce w dniach 30 maja – 3 czerwca 2015 r. Zakwaterowani byliśmy w hotelu „Kopernik” w centrum miasta. W dobę hotelową wliczone są tylko śniadania, obiady i kolacje spożywalimy więc w niedodległym kompleksie konferencyjno-bankietowym. Tam też odbywały się nasze spotkania ogólne.

Poniedziałkowe przedpołudnie to zwiedzanie Torunia z przewodniczką – panią Teresą Anckowiak, która choć posunięta w latach, bardzo energicznie i ciekawie oprowadziła nas po Starym i Nowym Mieście. Należy zaznaczyć, że Nowe Miasto jest tylko o około 30 lat młodsze od Starego, którego akt lokacyjny opiewa na rok 1233. Tak więc i Stare, i Nowe Miasto stanowią starówkę Torunia, oczywiście bardzo ciekawą pod względem architektonicznym. Nie miejsce tu opisywać uroki Torunia, należy się o tym przekonać osobiście, tym bardziej że 4 grudnia 1997 roku zespół staromiejski Torunia został wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Po obiedzie tradycyjnie msza św. na rozpoczęcie zjazdu. Miała ona miejsce w kościele św. Jakuba Apostoła, którego wspomniał – a jest to kościół o wybitnej randze

artystycznej, jego wewnętrzna strona chóru należy do najpiękniejszych dzieł stworzonych w średniowiecznej architekturze ceglanej – nie mogliśmy w pełni podziwiać, gdyż przesłaniały go renowacyjne rusztowania. Zaczęliśmy od modlitwy przy dwóch tablicach – jednej poświęconej Sybirakom (wśród zaproszonych gości była spora grupa Sybiraków osiadłych na ziemi toruńskiej). Druga tablica to epitafium upamiętniające biskupa diecezji łuckiej Adolfa Piotra Szelażka, pochowanego w tym kościele, a którego proces beatyfikacyjny otwarto 6 października 2012 r. Po mszy św. wysłuchaliśmy ciekawego wykładu prof. dr. hab. Waldemara Rozyńkowskiego z UMK o działalności Sługi Bożego Adolfa Szelażka, który podobnie jak wielu z nas był wygnańcem z Kresów.

Na koniec dnia jeszcze jedna duchowa uczta. Tym razem Tomasz Kuba Kozłowski, koordynator programu Warszawska Inicjatywa Kresowa przy Domu Spotkań z Historią w Warszawie, zabrał nas na wspaniałą „wycieczkę” wzdłuż rzeki Zbrucz (właściwie to jeszcze trochę wzdłuż Dniestru, bo dotarliśmy do Zaleszczyk). Nadzbruczańskie zamki były dla nas dużo ciekawsze niż tak zachwalane zamki nad Loarą, a prelegent mówił o wszystkim tak zajmująco i tak piękną polszczyzną, że słuchaliśmy go z wielkim zaśluchaniem. Mamy nadzieję, że pan Tomasz uświetni nasz następny zjazd.

We wtorkowy poranek pojechaliśmy do Radia Maryja w Toruniu. Nie wszyscy uczestnicy byli tym zachwyceni, ale uważam, że żeby coś krytykować, trzeba to poznać. I muszę powiedzieć, że ci sceptycznie nastawieni „zjazdowicze” musieli uderzyć się w piersi. Nie chodzi o samo Radio, w którym mieliśmy rozmowę na antenie na żywo (oczywiście mówiliśmy o naszym zjeździe), ale o całość dzieła Ojca Rydyzka. Dla nas szczególnie ciekawe okazało się zwiedzanie Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej. Oprowadzał nas student V roku dziennikarstwa, który też na początku swoich studiów nie był co do słuszności swego wyboru przekonany, ale z tego co mówił o swojej uczelni, wyłonił

się bardzo pochlebny jej obraz, czego dowodem, że w tym roku uchwałą Prezydium Polskiej Komisji Akredytacyjnej oceniającej jakość kształcenia na uczelniach wyższych, kierunku dziennikarstwo i komunikacja społeczna WSKSiM otrzymał ocenę wyróżniającą. Ocenę taką niełatwo jest otrzymać, z czego pisząca te słowa, sama będąca nauczycielem akademickim, doskonale zdaje sobie sprawę. Absolwenci znajdują zatrudnienie nie tylko w kościelnych środkach przekazu, również w tych państwowych są doceniani. Tak więc dzieło Ojca Rydzyska dobrze służy Polsce i Polakom. I nie można mówić, że to ubogie i ciemne babcie na to łożą. Nikt ich do tego nie zmusza, to jest ich dobrowolny przystawowy wdowi grosz, który przynosi dobre owoce.

Poobiednie wtorkowe popołudnie to uroczyste spotkanie z zaproszonymi gośćmi i przedstawicielami władz samorządowych, wstępem do niego był krótki koncert w wykonaniu młodzieży z Zespołu Szkół Muzycznych w Toruniu. Młodzi muzycy zagrali na trąbkach głównie „kawałki” jazzowe, ale też „Odę do radości” Ludwika van Beethovena. Odczytano list od prezydenta Torunia p. Michała Zaleskiego. Po wystąpieniach oficjalnych gości (przedstawicieli m.in. Związku Szlachty Polskiej, Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego, Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Towa-

rzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Pd.-Wsch., Związku Sybiraków) zabrali też głos goście z Tarnopola: ks. Andrzej Malig oraz Piotr Friz – prezes Polskiego Towarzystwa Kulturalno Oświatowego w Tarnopolu, którzy podzielili się z nami najnowszymi wiadomościami o parafii tarnopolskiej i działalności Towarzystwa.

Z dużym zainteresowaniem wysłuchali uczestnicy Zjazdu wspomnień Sybiraczki p. Ireny Kantorskiej-Schick, córki oficera w 49 Pułku Piechoty w Kołomyi, która jako sześciolatnia dziewczynka została wraz z matką i młodszym bratem zesłana w rejon Semipałatyńska. Opisała swoje przeżycia w książeczce *Głód*. O książeczce tej ks. Adam Boniecki, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”, napisał: „Podobało mi się szczególnie to, że wspomnienia są bezpretensjonalne, bez patosu i martyrologii. Dzięki temu sam opis przemawia, trafia do wyobraźni, wzrusza”.

W ramach kolacji uczestnicy zjazdu udali się do ruin zamku krzyżackiego, gdzie przy grillu, śpiewaniu piosenek kresowych i biesiadnych, a także tańcach i opowiadanych kawałach mile spędzili ostatni wieczór. Następnego dnia po śniadaniu przyszedł czas na podsumowanie zjazdu i wybranie terminu i miejsca następnego, XXX już Zjazdu. Zgodziliśmy się, żeby tym miejscem ponownie była Nysa. A więc do zobaczenia w Nysie!



Uczestnicy XXIX Zjazdu Tarnopolan w Toruniu. Autorka relacji w pierwszym rzędzie, trzecia od lewej

W cieniu Katynia i Syberii

ZE STANISŁAWEM KOPACZEM

**rodem z Podola, emer. profesorem
Politechniki Rzeszowskiej
rozmawia Zbigniew Wawszczak**

Zanim wybuchła wojna w roku 1939 i na Polskę runęły dwie potęgi ze wschodu i zachodu, rodziny Kopaczów i Chabinów gospodarowały we wsi Hłuboczek Wielki na Podolu, nieopodal Tarnopola. Kopaczowie mieli gospodarstwo liczące kilka hektarów czarnoziemiu we wsi, którą zamieszkiwali pospół Polacy i Ukraińcy. Nieopodal Hłuboczka Wielkiego przebiegała linia kolejowa i dziadek mego rozmówcy Józef Chabin pracował na kolei. Mama wywodziła się z rodziny Chabinów (według tradycji ten ród wywodził się z Francji) i nauczyła się bardzo cenionego w tamtych czasach zawodu krawieckiego. Rodzice Stanisława Kopacza, Maria i Bogdan, byli ludźmi inteligentnymi i przedsiębiorczymi. Niedługo po tym jak zawarli związek małżeński, wybuchła wojna, burząc dobrze zorganizowane i w miarę dostatnie życie kresowej rodziny.

Jest rok 1938. W rodzinie Marii i Bogdana rodzi się dziecko. Podporucznik Bogdan Kopacz wraca w trakcie wakacji z przeszkolenia w podchorążówce we Lwowie. Sytuacja polityczna jest bardzo napięta, zbliża się wojna. Pod koniec sierpnia Kopacz otrzymuje kartę mobilizacyjną i wyjeżdża do pobliskiego Tarnopola, gdzie formują się z rezerwistów nowe jednostki wojskowe. Młoda żona udaje się z początkiem września do wojewódzkiego miasta.

Po wielu perypetiach (w mieście panuje ogólny chaos i niepewność co do przyszłości) udaje się jej odnaleźć męża i porozmawiać z nim. Obydwójce nie wiedzą, że jest to ostatnie spotkanie w życiu młodej pary. 17 września 1939 r. na mocy zdradzieckiego paktu Ribbentrop–Mołotow wojska Rosji Sowieckiej przekraczają polską granicę. Ze względu na niewielką odległość Tarnopola od Zbrucza szybko zbliżają się do miasta.

Pułk, w którym służy Bogdan Kopacz, otrzymuje rozkaz wycofania się na południe. Po drodze otaczają go i rozbrajają wojska sowieckie, a podporucznik dostaje się do niewoli.

Możemy się domyślać, jakie nastroje panowały na ziemiach polskich zagarniętych przez najeźdźcę ze wschodu, który z miejsca zaczął wprowadzać swoje porządki. Aresztowania dotyczą w pierwszym rzędzie ludzi związanych z pokonanym państwem polskim – wojskowych, policjantów, urzędników, ziemian, leśników. W domu Kopaczów, obszerniejszym i większym niż przeciętne, niepokoją się o los Bogdana, którego pochłonęły wiry wojny.

Profesor Stanisław Kopacz niewiele zapamiętał, bo kiedy opuszczał rodzinne gniazdo, miał zaledwie dwa lata. Ale o Hłuboczku Wielkim opowiadała mama, która żyła długo (89 lat) i zmarła w jego domu w Rzeszowie w roku 1998.

Panie profesorze, proszę przypomnieć, co o podolskim Hłuboczku Wielkim opowiadała mama, zresztą nie tylko o Hłuboczku, ale przede wszystkim o domu rodzinnym, o rodzicach, dziadkach, o gospodarstwie (jak było zorganizowane, jakie zboża uprawiano, ile krów i koni zapełniało oborę i stajnię),



Józef Chabin



Abiturjenci Państwowego Seminarium Męskiego im. H. Sienkiewicza w Tarnopolu, 1936 rok, w drugim rzędzie od dołu – pierwszy z prawej strony
Bogdan Kopacz

a także jak można scharakteryzować wzajemne stosunki pomiędzy Polakami i Ukraińcami zamieszkującymi we wsi?

Były dwie miejscowości o nazwie Hłuboczek: stara wieś nazywała się Hłuboczek Wielki, druga zaś miejscowość powstała później, był to Hłuboczek Mały w powiecie zbarskim. My mieszkaliśmy w Hłuboczku Wielkim – była to duża wieś licząca około 2500 mieszkańców. We wsi był mały kościół, grekokatolicka cerkiew oraz pałac, w którym mieszkał hrabia Plater. We wsi znajdowała się czteroklasowa szkoła podstawowa i dwa młyny. Przez wieś przebiegała trakcja kolejowa, więc łatwo było dojechać do Tarnopola. Ludzie żyli z uprawy ziemi, gospodarstwa były małe, ale można było dokupić ziemi u hrabiego Platera.

Moi dziadkowie Józef i Paraskewia Chabinowie mieli gospodarstwo rolne, które prowadziła babcia Paraskewia, bo dziadek pracował na kolei. W gospodarstwie były dwie krowy, hodowano trzodę chlewną i drób. Moja mama Maria pomagała w gospodarstwie, ale również prowadziła mały zakład krawiecki i miała uczennice. Dziadek dostawał pensję na kolei, więc dzieci mogły się

kształcić. Z ośmiorga dzieci dziadków wykształciło się pięcioro: Bazyli, Zofia, Waleria uczyli się w seminarium nauczycielskim w Tarnopolu, Stanisław w seminarium duchownym we Lwowie, Piotr ukończył szkołę oficerską. Ciocia Anna i moja mama Maria były wykwalifikowanymi krawcowymi. Ciocia Tekla została na gospodarstwie i pomagała dziadkom w prowadzeniu gospodarstwa.

W Hłuboczku Wielkim mieszkali Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Stosunki między ludźmi były dobre. Bardzo często sąsiedzi pomagali sobie w żniwach, przy wykopkach i innych pracach. Nie było sprzętu rolniczego, więc wszystkie prace polowe wykonywane były ręcznie – sianie zboża, żniwa, sianokosy, wykopki.

Czy przeprowadzona z wielkim rozmachem pierwsza deportacja w mroźną zimę 10 lutego 1940 roku była wielkim zaskoczeniem dla Polaków z Hłuboczka Wielkiego, czy ludzie przeczuwali, co przygotowują sowieccy okupanci?

O pierwszej deportacji w nocy z 9 na 10 lutego 1940 r. niewiele wiem – tyle tylko, że wówczas deportowano całe rodziny obywateli Rzeczypospolitej: Polaków, a także Białorusinów, Litwinów i Ukraińców.



Jednak tej ponurej jesieni 1939 r. pojawił się promyk słońca. Maria Kopacz otrzymała list od męża. List był wiele razy czytany i chociaż niewiele się można było z niego dowiedzieć, rozwiął wątpliwość – Bogdan żyje, nie zginął na wojnie. Po pewnym czasie nadszedł drugi, a po nim trzeci.

Dla mamy i całej rodziny był to ogromny cios, że mój ojciec Bogdan znajduje się w Kozielsku. Mama pisała do ojca kilka listów, ale na te listy początkowo nie było odpowiedzi. Pierwszy list mama dostała w listopadzie 1939 r. W styczniu 1940 otrzymaliśmy drugi list, z którego wynikało, że ojciec nie ma żadnych wiadomości od nas. Mama tym faktem bardzo się zmartwiła, dopiero w trzecim liście z 15 lutego 1940 ojciec napisał, że otrzymał wszystkie listy od mamy. Był to ostatni list od ojca.

A później rodzina Kopaczów – Maria z dwuletnim synem, dziadkowie, ciotki musieli się zmierzyć z bardzo trudnym wyzwaniem. 13 kwietnia do domu w nocy wtargnęli uzbrojeni ludzie. Przebieg tej niezapowiedzianej „wizyty” i zdarzeń, które po niej nastąpiły, zapamiętał pan ze wspomnień mamy.

Mama i ja znaleźliśmy się w drugiej grupie deportacji, w nocy 12/13 kwietnia 1940 roku. W tej grupie były przede wszystkim kobiety i dzieci (mężowie wcześniej zostali aresztowani i osadzeni w obozach w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku). W nocy 13 kwietnia około godziny 4 nad ranem przyjechała grupa enkawudzystów, głównie Kirgizów, i rozpoczęła rewizję w naszym domu w poszukiwaniu broni. Mama w pospiechu, zdenerwowana znalazła małą wa-

lizeczkę i koc, w który zawinęła poduszkę, poszwę i pościel oraz trochę osobistych swoich i moich rzeczy. W walizeczce miała dokumenty, zdjęcie ojca, listy z Katynia od ojca, zegarek pamiątkowy oraz pierścionek i dwie obrączki ślubne – i to był cały dobytek na zsyłkę. Niektórzy Ukraińcy przyglądali się, jak ładowano nas na furmankę i cieszyli się mówiąc: ... *Niech jadą tam, gdzie białe niedźwiedzie*. Załadowano nas do

towarowych wagonów, w których było bardzo ciasno, ponieważ do jednego wagonu ładowano nawet po dziesięć rodzin, a każda rodzina liczyła zazwyczaj po kilka osób.

Mama opowiadała, że tuż przed odjazdem pociągu sowiecki żołnierz z eskorty wyrwał z jej rąk walizeczkę z całym naszym dobytkiem. Walizeczkę odzyskała niemal cudem, ponieważ jedna z polskich zesłańek, która była jeszcze na peronie, wyrwała walizeczkę z ręki sowieckiego żołnierza i rzuciła mamie, która była w już odjeżdżającym pociągu.

Do Tarnopola dowieziono nas po południu, a tam na peronie czekaliśmy całą noc, zanim załadowano cały transport. Z województwa tarnopolskiego do pociągu załadowano około 2000 osób. Wtedy dopiero pociąg ruszył w dalszą drogę. Wszystkie drzwi wagonów były z zewnątrz zamknięte, a ludzie swoje potrzeby naturalne załatwiali przez dziury wykonane w podłodze wagonów. Jedzenia ani wody do picia nie było. Niektórzy zdołali zabrać ze sobą coś do jedzenia. Dziaili się z tymi, którzy nic nie mieli. Starsi ludzie i chorzy umierali w pociągu; chowano ich w ziemi w czasie krótkich postojów pociągu.

W takich warunkach dojechalśmy do Uralu i dopiero wtedy wagony zostały otwarte i ludzie na krótko mogli wyjść, odetchnąć świeżym powietrzem, nabrać wody do picia.

Z Uralu do Pawłodaru jechaliśmy około dwóch tygodni pociągiem. W Pawłodarze załadowano nas na statek towarowy i po kilkunastu godzinach rejsu w górę Irtyżu znaleźliśmy się u celu podróży – w Majську, odległym od Pawłodaru o około 200 km, a od Tarnopola o ok. 4000 km w linii prostej.

Zawieziono was na koniec świata, nad brzeg potężnej syberyjskiej rzeki Irtysz. Nikt z przywiezionych tu Polaków nie wiedział, jak długo tu pozostaną, ale też nie przypuszczał, w jak trudnych warunkach przyjdzie im żyć. Sześć lat to szmat czasu – o tym czego pan, mama i inni zesłańcy tam doświadczyli, można napisać książkę. Proszę, aby wybrał pan najważniejsze zdarzenia i ludzi, których nosi pan pod powiekami.

Do Majksa w województwie pawłodarskim w Kazachstanie przyjechaliśmy 1 maja 1940 roku. W drodze na zesłanie skończyłem dwa lata. Mama opowiadała, że po przybyciu do Majksa na brzegu rzeki Irtysz powitała nas horda Kazachów wymachujących kijami i strzelającymi batogami. Uprzedzono ich bowiem, że zesłańcami są polscy bandyci i zbrodniarze, a oni, ku swojemu zdumieniu, zobaczyli kobiety z małymi dziećmi i starszych, zaniedbanych i chorych mężczyzn, których ominął pobór do wojska. Wielu przerażonych Polaków klękało do modlitwy sądząc, że nadszedł kres naszego życia. Zesłańców zapędzono do szopy, w której wcześniej przebywały zdychające konie. Po dokonaniu przez enkawudzystów spisu i segregacji zesłańców mamę moją skierowano do pracy w kopalni odkrywkowej gliny, leżącej nad brzegiem Irtyżu. Ciężka praca w kopalni – wożenie gliny, stanie w wodzie, przenoszenie ciężkich wiader z gliną i bardzo trudne warunki atmosferyczne – w lecie prażące słońce i temperatura +40°C i bardzo zimne jesienie sprawiły, że mama często mdlała i w końcu bardzo ciężko zachorowała. Zwolniono ją z pracy i zostaliśmy bez żadnych środków do życia. Gdy kierownikowi kopalni mama powiedziała, że nie ma żadnych środków do życia, usłyszała odpowiedź: *My po to was tu przywieźli, żebyście wszyscy wyzdychali.*

Głód i choroby – malaria, świerzb, jaglica, reumatyzm, choroby weneryczne, tyfus oraz wycieńczenie ciężką pracą dziesiątkowały mieszkańców Maj-

ska, w tym i Polaków. Ludzie próbowali żywić się skąpą roślinnością stepową, ale skończyło się to dla wielu osób tragicznie, ponieważ znalezione na stepie cebulki okazały się trujące i wielu Polaków zmarło już w pierwszym roku pobytu w Majsku. Jadalny szczaw został szybko wyzbierany w całej okolicy i znalezienie go wymagało niejednokrotnie nawet kilkunastokilometrowych wypraw wzdłuż Irtyżu, co nie zawsze było bezpieczne ze względu na liczne napady. Podniesienie buraka pastewnego, który wypadł z wozu kołchozowego, a zauważone przez strażnika konwojującego buraki, zakończyło się dla nieszczęsnego głodnego człowieka skatowaniem go i zesłaniem do obozu pracy w kopalni.

Gdy mieszkaliśmy w baraku, zgłosiła się Rosjanka poszukująca opiekunki dla małego dziecka. Mama zgodziła się zaopiekować dzieckiem, więc zamieszkaliśmy u tej Rosjanki – lepianka składała się z jednej izby, do której wchodziło się przez ganeczek zrobiony z patyków, następnie była stajnia i dopiero przez stajnię wchodziło się do izby. Mama miała przydzielony kąt, w którym znajdowało się łóżko, a w drugim kącie stało łóżko gospodyni. Pośrodku izby stał stół i ja pamiętam, że czasem byłem przywiązywany do nogi tego stołu, bo byłem bardzo ruchliwym i wciąż głodnym dzieckiem. W tej dla nas niezwykle ciężkiej sytuacji życiowej od śmierci uratował nas zegarek, który mama wymieniła z jedną Rosjanką na maszynę do szycia marki Singer (maszyna ta jest sprawna do dziś). Mama była z zawodu krawcową, ale szycie było pracą nielegalną, za którą groziło więzienie lub zsyłka do ko-



Bogdan i Maria Kopaczowie



palni węgla w Karagandzie. Dlatego mama szyła tylko osobom zaufanym, a za uszycie czegoś do ubrania dostawała garść kaszy lub kilka ziemniaków i w ten sposób nadal pozostawaliśmy przy życiu.

W tych dla nas ciężkich czasach wydarzył się przypadek, który uratował życie nam i wielu Polakom mieszkającym w Majsku. Przybył tu rosyjski zesłaniec, który nazywał się Kostia Beriulgin. Człowiek ten chcąc uniknąć ciężkiej pracy w kopalni gliny oświadczył miejscowym władzom, że jest z zawodu piekarzem. Piekarnia w Majsku wypiekała chleb dla robotników pracujących w kołchozie i w kopalni gliny.

Kostia Beriulgin szybko się zorientował, że piekarnia nie posiada kierownika i dlatego postarał się o mianowanie go na to stanowisko.

Mama mówiła, że piekarz miał z ubrania tylko płaszcz wojskowy i podarte spodnie sięgające do kolan. Gdy dowiedział się, że w Majsku jest Polka, która szyje – zgłosił się do mamy i poprosił o uszycie ubrania z płaszcza wojskowego. Mama dostała w zamian chleb. Potem za uszycie jakiejś rzeczy też dawał chleb. Mama opowiadała, jak się to odbywało. Wieczorem, gdy było już ciemno, mama nakładała chustę na siebie, brała żelazko do prasowania na węgiel i szła do piekarni. Tam dostawała chleb, który chowała pod chustą i wracała z powrotem, niosąc żelazko w ręce. Chlebem mama dzieliła się z gospodynią i głodującymi Polakami. Od czasu do czasu trafiało się mięso roznoszone nocą przez Kazachów, pochodzące z uboju wielbłądów kradzionych

w kołchozie. Krótki umowny sygnał nocą w okienko ziemianki, Kazach po zostawieniu kawałka mięsa znikał. Zapłatę zwykle otrzymywał po kilku dniach. Mięso ugotowane nocą przez mamę było natychmiast zjadane, przy czym na moje pytanie, co to za ryba bez ości, mama odpowiadała: „...jedz szybko i nikomu jutro nie gadaj, że nocą jadłeś, jedz i idź spać”. Rozwścieczeni milicjanci grozili sprawcom kradzieży, ale ich nie znaleziono.

Warunki życia w Majsku były niezwykle trudne, ale domek-lepianka chronił przed zamarznięciem zimą i prężącym słońcem w lecie oraz przed wilkami, które grasowały w przyległym do osady stepie i nocą podchodziły pod dom. Dlatego ludzie nie wychodzili pojedynczo nocą z domów, a ponadto spali na pryzkach piętrowych, ponieważ były przypadki podkopywania się wilków do ziemianek i zagryzania ludzi. W ten sposób można było uchronić się przed wilkami, ale nie przed wszami, pluskwami i pchłami. Pluskwy włożyły po nóżkach prycz do łóżek, dlatego nóżki prycz stały w naczyniach z wodą. Ale i to nie zawsze było skuteczne, ponieważ pluskwy po ścianie włożyły na sufit, z którego skapywały na śpiących ludzi. Pozostawała więc tylko nocna czujność i wyłapywanie skapujących z sufitu pluskw. Utrzymywaliśmy się z tego, co mama dostała za szyć.

Gdyby nie opieka mamy miałby pan wielką szansę na przetrwanie i powrót do kraju. Na szczęście była ona bardzo zaradna i gotowa do największych poświęceń, żeby ochronić syna.

Moja mama była kobietą niezwykle zaradną, a do tego jeszcze pamiętała, co jej powiedział mąż na ostatnim spotkaniu w Tarnopolu: *Wychowaj mi syna na dobrego człowieka*. Myślę, że to ją jeszcze bardziej mobilizowało do pokonywania wszelkich trudów życia codziennego w Majsku.

Dzisiaj patrząc przez pryzmat doświadczeń całego życia, jak ocenia pan swoje dzieciństwo, które upłynęło w surowych warunkach

nad brzegiem potężnego Irtyżu, dzieciństwo głodne, chłodne, bez ubrań, zabawek, łakoci? A może skoro nie było żadnych możliwości porównania, przyjmował pan wszystko w sposób naturalny? Przecież był pan dzieckiem, bawił się i psocił wraz z rówieśnikami, nie zdając sobie sprawy, w jakich żyje warunkach.

Jak pan zauważył, moje dzieciństwo było trudne – ale jako mały chłopiec nie zdawałem sobie sprawy z sytuacji, w której się znajdowałem. Zachowywałem się jak każde dziecko z Majska, miałem kolegów z rodzin rosyjskich i polskich, z którymi rozmawiałem w ich ojczystym języku. Razem się bawiliśmy, a ulubioną naszą zabawą była *jazda konna*, która polegała na tym, że do patyków przyczepialiśmy końskie głowy narysowane przez polską zesłankę panią Węglowską i wycięte. Na tych koniach ganialiśmy po stepie i nad brzegiem Irtyżu.

A jak to było z kwiatkami, które pan postanowił przynieść мамie?

Otóż pewnego dnia bawiąc się nad brzegiem Irtyżu zauważyłem płynącą blisko brzegu dużą grubą belkę drewna, na którą wsiadłem razem z córką sąsiadki i popłynęliśmy z prądem rzeki. Gdy po pewnym czasie belka z nami zbliżyła się do brzegu, wysiedliśmy, ale okazało się, że oddaliliśmy się dosyć daleko od miejsca pobytu. Powrót trwał stosunkowo długo, a w tym czasie moja mama i mama dziewczynki zaniepokoiły się naszą nieobecnością. Zrozpaczone kobiety uspokoiły się dopiero wówczas, gdy jedna z Rosjanek będąca nad brzegiem Irtyżu powiedziała, że widziała dzieci, które zmierzały w stronę domu. Moja mama przygotowała sobie patyk i powiedziała, że dostanę lanie, żebym miał nauczkę na przyszłość i nie oddalał się zbyt daleko od domu. Jedna z Rosjanek, która była nad brzegiem Irtyżu, widząc nas nadchodzących, wyrwała kij z ręki mamy mówiąc: *Co, będziesz go biła? Zobacz, niesie dla ciebie kwiaty*. Kwiaty uchroniły mnie zapewne od solidnego lania. Mama tylko prosiła, żebym więcej się tak nie oddalał od domu, co jej obiecałem.

Wcześniej w luźnej rozmowie wspominał pan o oryginalnej potrawie, którą wymyśliła mama. Tego dania, które powstało w wyniku wykorzystania zasobów rzeki Irtyż, później

po powrocie do kraju mama już nie przygotowywała.

Mama za pomocą kawałków płótna i chustek łowiła rybki, następnie mieliła je w prymitywnej maszynce i gotowała w postaci gałek, które były najeżone ośmi. Technologia spożywania gałek polegała na ich połykaniu, a nie rozgryzaniu, bo to było niebezpieczne ze względu na ości.

A jak to było z maszyną do szycia, dzięki której poprawiły się wasze warunki życia. Jak ją mama zdobyła?

Mama na wywózkę do Rosji zabrała ze sobą w walizeczce ręczny zegarek. I właśnie ten zegarek uratował nam życie, ponieważ udało się go zamienić z pewną Rosjanką na maszynę do szycia. Była ona chorą kobietą, która miała kilka maszyn do szycia, przywiezionych przez jej męża. Ten zdobył je jakoś na wojnie. Ona marzyła o ręcznym zegarku, ponieważ w owym czasie zegarki w Rosji były niezwykle cennymi przedmiotami, posiadanymi tylko przez władców (prawitielstwo) i wyższych urzędników państwowych.

Mama była wykwalifikowaną krawcową, szyla różne ubrania z rozmaitych szmat i odpadków płóciennych. Poza Rosjanką o szyciu mamy wiedziało niewiele osób, bo odbywało się ono w konspiracji. Szycie przez osoby niezrzeszone w kolchozowych szwalniach było surowo zabronione i gdyby władze przyłapały mamę na szyciu osobom spoza rodziny, zostałaby aresztowana, a maszyna do szycia skonfiskowana. Była jedyną krawcową w całym rejonie, a po pewnym czasie zgłaszali się do niej również klienci z Pawłodaru, którzy jakimś cudem dowiedzieli się o zdolnościach krawieckich mamy. Za uszycie czegokolwiek nie brała pieniędzy, tylko produkty żywnościowe – kaszę, ziemniaki, mleko, kawałek chleba.

Jak sądzę, najtrudniejszy był pierwszy rok pobytu na nieludzkiej ziemi. Podpisana w roku 1941 umowa Sikorski-Majski w zasadniczy sposób miała zmienić położenie deportowanych. Władze sowieckie ogłosiły amnestię i na jej podstawie otwierać się miały bramy więzień, łagrów i miejsc odosobnienia. Ale na ogromnych przestrzeniach Syberii i Kazachstanu, zwłaszcza w odległych zakątkach, bardzo wiele zależało od lokalnych władz, szefów łagrów.

Jak wiemy ze wspomnień deportowanych, nie brakło takich naczelników, którzy trzymali w tajemnicy zasady polsko-sowieckiego porozumienia, a kiedy sami zainteresowani o nim się dowiadywali – nie chcieli zwalniać „niewolników”, ponieważ stanowili trudną do zastąpienia siłę roboczą. Wydaje się, że pewną rolę w pokonywaniu rozmaitych biurokratycznych przeszkód odegrała powołana przez polskich komunistów organizacja Związek Patriotów Polskich. W pańskich zbiorach znajduje się legitymacja mamy – członka ZPP.

Moja matka wstąpiła do powstałego w Majsku Związku Patriotów Polskich na krótko przed wyjazdem do Polski i otrzymała legitymację wydaną w 1946 roku.

Edukację rozpoczął pan w wyjątkowo niesprzyjających warunkach, w ostatnim roku zesłania. Szczęśliwy przypadek sprawił, że w osadzie, w której przebywaliście, znalazła się nauczycielka z Polski, Stefania Węglowska, która została wychowawczynią pierwszej klasy. Z braku zeszytów – pisanie liter uczyliście się na zeszytach zrobionych z gazet.

Naukę w pierwszej klasie ukończyłem 15 kwietnia 1946 r. z wynikiem dobrym i otrzymałem świadectwo w języku polskim i rosyjskim, zawierające następujące przedmioty: język polski, arytmetyka, rysunki, śpiew i zachowanie.

W osadzie przemysłowej w Majsku, a także w otaczających ją stepach zamieszkiwali Kirgizi, Kazachowie, a także Rosjanie. Jak ci ludzie odnosili się do zesłańców z Polski? Czy warunki, w jakich żyli tubylcy, różniły się zasadniczo od tych, jaki stworzono zesłańcom?

Rosjanie, którzy zamieszkiwali w Majsku, byli w większości z Rosji centralnej, zesłani po rewolucji październikowej jako kułacy – bogacze, a miejscową ludność stanowili Kazachowie. Warunki życiowe były bardzo ciężkie, ludzie nie mieli co jeść ani w co się ubrać, nie mogli nic kupić, ale musieli ciężko pracować. Tylko nieliczni mieszkańcy wsi – Rosjanie mieli krowy lub kozy i jeśli ktoś z Polaków posiadał jakąś odzież, to wymieniał ją najczęściej na mleko. Rosjanie nam współczuli, bo wiedzieli, że jesteśmy niewinni i zostaliśmy tu zesłani na wyginięcie. Kazachowie w większości pracowali w kołchozach i jak wiadomo z opowiadań mamy, znacznie lepiej odnosili się do Polaków niż do Rosjan.

Majsk otaczały bezkresne stepy Kazachstanu z jednej strony, a rzeka Irtysz z drugiej. W nurtach tej rzeki było wiele gatunków ryb, których rozmiary budziły zdumienie przybyśców z Polski.

Z opowiadania mamy wiem, że zimą, gdy wody Irtyszu były zamarznięte, rybacy na saniach przywozili do Majska ogromne zamrożone ryby, które wyglądały jak belki – na saniach mieściły się zwykle 3 lub 4 sztuki takich ryb. Natomiast przy brzegu żyły małe rybki podobne do naszych płotek, które można było łowić tylko latem, ponieważ zimą rzeka była całkowicie zamarznięta. Część ryb zjadano, a część nawlekano na wiklinowe gałązki, suszono w prażącym słońcu i zasuszone przechowywano do zimy.

Przez okres pobytu w Kazachstanie towarzyszył wam obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Wizerunek Pani Ostrobramskiej był z wami również w drodze powrotnej. Proszę przypomnieć, jakie starania poprzedziły powrót, jakie przygotowania poczyniła mama? Czy ośmioletni chłopak, jakim był pan wówczas, zdawał sobie sprawę ze znaczenia tej ważnej zmiany, która miała nastąpić w waszym życiu?

Mieliśmy obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej, który przysłała siostra mamy – ciocia Zosia. Mama wspominała, że codziennie przed tym obrazkiem modliła się ze mną, dziękując Bogu za kolejny przeżyty dzień, i prosiła Boga o dalszą opiekę nad nami i powrót do Polski. Pod koniec 1945 roku rozeszły się pogłoski zarówno w Majsku, jak i w Pawłodarze, że Polacy będą mogli wrócić do Polski. W Pawłodarze był Komitet Polski, który negocjował z władzami rosyjskimi warunki umożliwiające Polakom powrót do Polski. Wiadomości te przywozła delegacja polska, która z Majska pojechała do Pawłodaru po pomoc amerykańską przekazaną polskim zesłańcom. Polacy nie mieli paszportów, ale po wizycie generała Władysława Sikorskiego u Józefa Stalina i podpisaniu umowy pomiędzy Sikorskim a Majskim NKWD wydało Polakom paszporty przeznaczone dla skazańców i teraz pozostało już tylko oczekiwanie na powrót do Polski. Miałem wówczas osiem lat i byłem bardzo zainteresowany podróżą do Polski. Ciągle mamę pytałem, kiedy pojedziemy i do kogo oraz czy jedziemy bardzo daleko?

Jak długo trwała droga powrotna i czy odbywała się w przyzwoitych warunkach?

Mama wiedziała, że do domu i gospodarstwa w Hłuboczku Wielkim nie ma powrotu. Musieliśmy więc jechać z całym transportem na Ziemię Zachodnie. Prawie przez cały miesiąc przygotowywaliśmy się do wyjazdu do Polski. Rosjanka, u której mieszkaliśmy w Majsku, bardzo żałowała, że ją opuszczamy, ponieważ mama szyła jej wszystko, co było niezbędne do codziennego użytku. Na drogę mama otrzymała od gospodyni kilka jajek, dostała chleb od piekarza, któremu szyła ubrania. Znalazły się również konserwy z pomocy amerykańskiej. Z Majśka wypłynęliśmy statkiem do Pawłodaru, a następnie przeszliśmy do pociągu osobowego. Z Pawłodaru wyjechaliśmy pierwszego maja 1946 r. i jechaliśmy do Moskwy okrężną drogą przez puste pola i lasy i nawet nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy. Pociąg kilka razy zatrzymywał się w pobliżu rzek i wówczas Polacy wybiegali z pociągu, głównie po wodę do picia. Gdy dojechalśmy do Moskwy, otrzymaliśmy trochę jedzenia i kawałki materiałów, z których można było uszyć koszulki dla praktycznie gołych dzieci. Mama z kawałków materiałów szyła dla dzieci koszulki na maszynie, którą mama ze sobą zabrała z Majśka.

Gdy dojechalśmy do Równego, wtedy mogliśmy wyjść z pociągu. Wszyscy Polacy ruszyli do kościoła, w którym odbywało się nabożeństwo. Ludzie padali na kolana, płakali i krzyczeli z radości, ponieważ po raz pierwszy po sześciu latach znaleźli się w kościele. Ksiądz prosił, żeby się ludzie trochę uciszyli, bo przyjdą władze i przepędzą ich, a jego aresztują. Ale ten krzyk i płacz był nie do opanowania. Ludzie z płaczem śpiewali *Serdeczna Matko, opiekunko ludzi*. W kościele długo nie zabawiliśmy, ponieważ trzeba było wracać szybko do odjeżdżającego pociągu.

Przejechaliśmy polską granicę i dojechali do Łodzi, a następnie do Konina. Z Konina ludzie rozjeżdżali się w różne strony Polski. Mama ze mną pojechała do Poznania, a następnie do Chodzieży, gdzie mieszkała jej siostra Anna Musiał. Przyjechaliśmy tam 11 czerwca 1946 roku.

W Chodzieży byliśmy krótko ze względu na trudne warunki mieszkaniowe, ponieważ mieszkanie składało się z dwóch małych

pokoików, w których musiały się pomieścić rodzina cioci Hani i moja mama ze mną. Następnym naszym miejscem zamieszkania był Miocin Górny w województwie wrocławskim. Zamieszkaliśmy na plebanii u mamy brata, księdza Stanisława Chabina, u którego mieszkała jeszcze jego i mamy siostra, Tekla Chabin.

Kiedy dotarła do was wiadomość o tragicznym losie, jaki Związek Sowiecki zgotował ojcu i zdecydowanej większości wziętych do niewoli oficerów polskich?

Mieszkając w Miocinie Górnym, mama wszczęła poszukiwanie swego męża Bogdana Kopacza przez Czerwony Krzyż i inne instytucje, ale na jej pisma nie uzyskaliśmy żadnych odpowiedzi. Mama zdobyła adres do Londynu, gdzie znajdowało się Towarzystwo Pomocy Polakom. Na swój list otrzymała odpowiedź, że Bogdan Kopacz jest zaginiony bez wieści. Równocześnie rozchodziły się coraz częstsze pogłoski o zbrodni katyńskiej, a wersja oficjalna była taka, że to Niemcy rozstrzelali cały obóz jeńców w Kozielsku. Tymczasem ten jeden z najokrutniejszych aktów ludobójstwa został dokonany na rozkaz Stalina w 1940 roku. Amerykańska Komisja Kongresowa opublikowała 22 grudnia 1952 Final Report (raport końcowy), w którym czytamy: *Komitet jednomyślnie uznaje za dowiedzione poza wszelką rozsądną możliwość, że radzieckie NKWD (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) popełniło masowy mord na polskich oficerach i przywódcach intelektualnych w lesie katyńskim koło Smoleńska w Rosji*.

W odnalezieniu się w nowym środowisku z pewnością pomogła mamie najbliższa rodzina, a zwłaszcza siostry mamy Tekla i Zofia.

Obydwoje z mamą byliśmy bardzo wyćienieni i ciocia Tekla robiła wszystko co w jej mocy, żeby nas trochę odżywić, a wuj ksiądz Stanisław Chabin opiekował się mną jak rodzony ojciec. Mama nie pracowała, ale zaczęła szyc i za szycie otrzymywała niewielkie zapłaty, bo wówczas ludzie byli biedni i nie mieli pieniędzy. Szkołę podstawową skończyłem w Miocinie Górnym, a następnie przenieśliśmy się do Namysłowa i zamieszkali u siostry mamy, Zofii Chabin, która była nauczycielką. W Na-

mysłowie kontynuowałem naukę w Liceum Ogólnokształcącym. Poza nauką, zajmowałem się sportem i trenowałem gimnastykę sportową, akrobatykę, siatkówkę i koszykówkę. W gimnastyce sportowej, której poświęcałem najwięcej uwagi, znalazłem się w reprezentacji województwa opolskiego, która zakwalifikowała się do spartakiady centralnej. Poza tym zajmowałem się fotografią i utrwaliałem na zdjęciach ważniejsze wydarzenia swojego życia. Z przedmiotów szkolnych najbardziej interesowała mnie filologia polska i chemia jądrowa oraz jej praktyczne zastosowanie w nauce, technice i gospodarce narodowej. Dlatego po skończeniu szkoły średniej poszedłem na studia na Uniwersytet Wrocławski na Wydział Matematyki, Fizyki i Chemii. Gdy byłem na II roku studiów, kierownik Zakładu Chemii Nieorganicznej na Uniwersytecie i Politechnice Wrocławskiej, pani prof. dr hab. Bogusława Jeżowska-Trzebiatowska, widząc potrzebę rozwijania badań w dziedzinie chemii jądrowej, zaproponowała mi wyjazd do Moskwy w celu kontynuowania studiów na jednym z największych uniwersytetów świata, na Uniwersytecie Moskiewskim, na którym na Wydziale Chemicznym była specjalność „chemia jądrowa”. Dodatkowym czynnikiem był fakt, że na Uniwersytecie Moskiewskim studenci mogli rozpoczynać badania naukowe na różnych specjalnościach, w tym na chemii jądrowej. Wraziłem zgodę na wyjazd do Moskwy. Dyplom ukończenia studiów uzyskałem w Katedrze Radiochemii tamtejszego uniwersytetu i po ukończeniu studiów w dniu 29 grudnia 1962 wróciłem do kraju i rozpocząłem pracę w Instytucie Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego pod kierownictwem pani prof. Jeżowskiej-Trzebiatowskiej. Na Uniwersytecie Wrocławskim uzyskałem stopień doktora oraz doktora habilitowanego, a stopień naukowy profesora oraz stanowisko profesora uzyskałem na Politechnice Rzeszowskiej. W latach 1975–

2008 pracowałem na Politechnice Rzeszowskiej, po czym przeszedłem na emeryturę.

Moja matka mieszkała z moją rodziną najpierw we Wrocławiu, a następnie w Rzeszowie. Prowadziła nasze gospodarstwo domowe, opiekowała się i wychowywała nasze córki – Agatę, Małgorzatę i Magdalenę. Była wspaniałą i wprost nieocenioną babcią, zmarła w 1998 roku.

Wojna sprawiła, że jeszcze jako niemowlę stracił pan ojca. Ciężar wychowania syna wzięła na swoje barki mama. Nie ulega wątpliwości, że przyszło panu dorastać w trudnych, powojennych warunkach, jednak światła i troskliwa opieka mamy i ciotek Zofii i Tekli Chabin, zdolność i determinacja pana sprawiły, że z powodzeniem ukończył pan studia i osiągnął najwyższy status, tytuł i stanowisko profesora szkoły wyższej. Można więc powiedzieć, że jest pan człowiekiem sukcesu. Jako jeden z organizatorów Wydziału Chemicznego na Politechnice Rzeszowskiej zapisał się pan na trwałe w historii tej uczelni. Założył pan rodzinę i wraz z żoną Marią, która również jest emerytowanym profesorem chemii, wychowali-

ście i wykształcili trzy córki i jest wam dana radość i satysfakcja z posiadania gromadki wnucząt.

Mimo iż żona Maria nie pochodzi z Kresów – urodziła się w Beskidzie Niskim koło Grybowa – w domu profesorstwa Kopaczów w Rzeszowie kultywowana jest pamięć o magicznym Podolu i miejscu kaźni ojca, Katyniu. Jako członek Rodziny Katyńskiej odwiedził pan wraz z żoną cmentarz polskich oficerów w Katyniu, a w bibliotece nie brak albumów i książek o Katyniu i Kresach. Niedawno profesor Kopacz opublikował w „Niedzieli” dwa obszernie artykuły zatytułowane *Moja mama i ja – wspomnienia z pobytu na Sybirze*. Obecnie pracuje nad książką o swoim nietłętym, ale ciekawym życiu.

Życzę wszystkiego najlepszego sympatycznemu i gościnnemu małżeństwu, które odwiedziłem niedawno w ich mieszkaniu w Rzeszowie.



Stanisław i Maria
Kopaczowie

Z dr Anną Kostecką

rozmawia Janusz M. Paluch

Pani doktor, mieszka pani w Polsce już dość długo, zatem pytanie, jak się pani czuje u nas, w Krakowie, może pani uznać za nieestosowne...

W Polsce mieszkam już dłużej niż w moich rodzinnych Mościskach... Zawsze jednak z sentymentem wspominam mój dom rodzinny, czasy dzieciństwa i młodości. Poza tym, nadal tam mieszka moja rodzina, moje koleżanki, znajomi z dzieciństwa... Im więcej lat mi przybywa, tym bardziej wzrasta tęsknota za rodzinnymi stronami. Jednak tu w Krakowie czy Skawinie jest mi również dobrze – w końcu to są spełnione moje marzenia!

Kobietom wieku nie powinno się wypominać, ale gdyby pani zechciała przybliżyć nam te lata, kiedy znalazła się w Polsce...

Mościska opuściłam w wieku 17 lat, gdy podjęłam naukę w Polsce. To było 22 lata temu! Moim marzeniem było zamieszkanie w Polsce, a szczytem marzeń – kiedyś wydawało się nierealnym – studiowanie na wyższej uczelni. O Krakowie nawet nie marzyłam, ale udało mi się podjąć naukę tutaj, potem zostać na studiach doktoranckich, w międzyczasie nabyć polskie obywatelstwo, w końcu zamieszkać i pracować w pięknym Krakowie. Ale to wszystko jest zasługą życzliwych ludzi, których spotkałam na mojej drodze. Tak teraz patrzę wstecz – nic w życiu nie było przypadkowe – każda znajomość, przyjaźń pomagała mi w rozwoju, w nabywaniu doświadczenia. Kiedy podjęłam pracę, to z moimi zarobkami nie miałam co marzyć o własnym mieszkaniu. Mąż pracował wtedy „na czarno”... Ale poznałam wspaniałą kobietę, panią dyrektor banku, która znając środowisko lwowiaków, pomogła mi uzyskać kredyt na zakup mieszkania.

A praca?

Dzięki opiece, jaką otoczył mnie mój profesor Bogusław Dunaj, niemal od początku



wszystko układało się pomyślnie. Pod okiem prof. Dunaja, w Instytucie Filologii Polskiej UJ, napisałam pracę magisterską i później doktorską, Profesor był moim promotorem. Pracowałam nad polskimi gwarami kresowymi, które porównywałam z gwarami polskimi. Wówczas korzystałam z materiałów *Słownika gwar polskich* oraz jego kartoteki, która mieści się w Instytucie Języka Polskiego Polskiej Akademii Nauk w Krakowie. Bardzo mi się ta praca spodobała. W efekcie zostałam tam. Na Uniwersytecie Jagiellońskim miałam też możliwość prowadzenia zajęć ze studentami, a to dzięki profesorowi Józefowi Wróblowi, z którym miałam pierwsze zajęcia w Przemyślu. Tam kończyłam trzyletnie Studium Nauczycielskie. A w Krakowie kontynuowałam studia na UJ, gdzie uzyskałam dyplom magisterski i później tytuł doktora. W przetrwaniu przy oczekiwaniu na pracę pomogła mi moja recenzentka pracy doktorskiej – profesor Zofia Cygał-Krupa. Jej też zawdzięczam wiele. Zaraz po obronie pracy, nie wiadomo jakimi drogami, znalazła numer telefonu do akademika Żaczek, w którym wtedy mieszkalam z mężem i córką. Pani profesor zadzwoniła do mnie i zaprosiła nas do swojej rodziny. To jest niesamowita kobieta – z niej emanuje wielka mądrość, z drugiej strony spokój, ciepło i wielka wrażliwość na drugiego człowieka. A przy tym wielka łagodność. Dała mi możliwość sprawdzenia

się jako lektorka w prowadzeniu ćwiczeń ze studentami w Tarnowie. Do dziś utrzymujemy żywe kontakty.

Zanim w pani życiu rozpoczął się rozdział krakowski, były Mościska – dzieciństwo i młodość w jakże odmiennej rzeczywistości, w realiach małego, przygranicznego miasteczka na terenie Ukraińskiej Republiki Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, a później wczesnych lat powstawania nowej państwowości – Ukrainy...

Urodziłam się w 1976 r. w Mościskach. Moi rodzice pochodzą ze Strzelczysk. To polska wieś oddalona o kilka kilometrów od Mościsk. W latach 90. było tam jeszcze 99% Polaków! Mój tato nazywa się Józef Kostecki, z zawodu jest stolarzem, a mama Maria z domu Gibała. W latach 80. rodzice pracowali w fabryce telewizorów kolorowych na zmiany. W latach 90., kiedy upadła ta fabryka, tato jeździł do pracy najpierw na Syberię, a potem do Polski. Mama pochodzi z większej rodziny – było ich siedmioro. Ojciec mamy, Franciszek Gibała, brał udział w II wojnie światowej – wujek, jego najstarszy syn, mówił mi, że był u Wandy Wasilewskiej i doszedł aż do Berlina... W Mościskach jeszcze w początkach lat 90. mieszkało ponad 50% ludności polskiej. Teraz jest już coraz mniej Polaków. Dużo młodzieży wyjeżdża za granicę. Ci, co zostają, wchodzą często w związki małżeńskie z Ukraińcami, co powoduje powolne, ale systematyczne

rozpływanie się polskości w Mościskach. Tym samym przechodzą też na język ukraiński. Zresztą od dawna robiono wszystko, by polskość u nas zneutralizować... Moja ulica w Mościskach leży już na peryferiach miasta. Kiedy rodzice dostawali tę działkę pod budowę domu, to przydzielano je tak, by ludność była wymieszana, by Polacy po jakimś czasie poszli w jednym rozwojowym kierunku. Ukraińskim oczywiście. Przy naszej ulicy co drugi dom należał do polskiej rodziny... Bardzo rzadko się zdarza, by obok siebie mieszkaly dwie rodziny Polaków.

A język rosyjski?

Język rosyjski się tam nie liczył. Był narzucony. Właściwie tam nie było tego języka. Oczywiście był on językiem urzędowym na równych prawach, ale powszechnie posługiwano się ukraińskim. W szkole nauczyciele mówili po ukraińsku. Owszem, moja nauczycielka posługiwała się rosyjskim, ale po 1991 r. całkowicie przeszła na ukraiński. Na ulicach słyszało się głównie język ukraiński, a po rosyjsku rozmawiali przede wszystkim ci, którzy przyjeżdżali ze wschodniej części Ukrainy (głównie wojskowi i ich rodziny), by pracować na granicy z Polską.

W Polsce dużo mówi się o tym, że w państwie ukraińskim narodowość polska narażona jest na różnego rodzaju szyskany. Czy z czasów swej młodości odczuwała to pani?

Polski zespół w Mościskach



Z czasów młodości nie pamiętam. Ale kiedy człowiek jest młody, to na takie sprawy może i nie zwraca uwagi... Poza tym nie miałam wtedy też takiej świadomości historycznej. Wydaje mi się, że w tamtych czasach nie miało to miejsca. Jednak teraz jest to normą. Często słyszałam (nie tylko ja) m.in. od moich koleżanek Ukrainek, że w ich domu czy na ulicy nie mogą mówić po polsku. Wiele razy już będąc w Przemyśle szłam z mamą po drodze i mama mówiła mi, jak to dobrze mówić swobodnie w swoim języku i nie oglądać się, czy nas ktoś nie słyszy. Dziwne jest też to, że po wielu ingerencjach Polski w ostatnich latach (m.in. związanych z wojną ukraińsko-rosyjską), wielkiej pomocy ze strony polskiej, nadal słyszy się o szykanowaniu Polaków za używanie języka polskiego.

Jak wyglądało tam pani życie? Mościska tak blisko granicy są położone...

Od granicy z Polską dzieli nas tylko 13 km. To tak niewiele, a jednak... Uważam, że miałam szczęśliwe dzieciństwo. Jak wspomniałam wcześniej, moja mama miała sześcioro rodzeństwa, prawie wszyscy mieszkają niedaleko siebie, więc mam wiele kuzynek. Pamiętam, że niemal co niedzielę oni chodzili do swoich rodziców do Strzelczysk, to zaledwie 4–5 kilometrów od miasta. Szło się niemal cały czas przez łąki i błonia. I pamiętam te powroty... Jak już się zmierzchało, szliśmy taką gromadą, dzieci z przodu, a nasi rodzice z tyłu głośno rozmawiając, śmiejąc się, a dość często śpiewając, po polsku oczywiście. Zimą czy jesienią nie było różnicy, no i w każde święta – zawsze szło się do babci – bo ona czekała na nas wszystkich. To tam zawsze śpiewaliśmy pod kapliczką w maju – zmierzch, a wokół unosił się nasz głos. Zawsze też się mówiło o Polsce. Z każdej rodziny ktoś wyjechał do Polski w czasie repatriacji, zazwyczaj to było starsze rodzeństwo naszych babć i dziadków, najmłodsze z nich zostawało na gospodarce. Więc pamiętam, jak sobie czytali, przekazywali te listy od rodzeństwa z Polski, mama opowiadała też, że dwa razy gościła ze swoim ojcem w Oświęcimiu u jego siostry, która tam osiadła. Tak było w każdej polskiej rodzinie. Moja koleżanka z ulicy, Tereska, to samo mówiła – rodzina ojca obiecywała im, że ich kiedyś też ściągnie do Polski.

Po latach wyjechała sama, zresztą jak i jej dwoje starszych rodzeństwa, w Mościskach został jeden brat na gospodarce – historia się powtarza. Smutne jest to, że nas Polaków, tak bardzo broniących swojego języka, pielęgnujących swoją wiarę, nikt tu – w Polsce – nie chce. Rząd nam w ogóle nie pomaga, nie upraszcza procedur. Przyjeżdżamy, ale na swoją rękę. Owszem po jakimś czasie otrzymujemy obywatelstwo, i na tym koniec. Żadnej pomocy. Każda z moich znajomych musiała kupić mieszkanie na własną rękę, tułając się jakiś czas, gdzie się dało.

Co innego jak przyjeżdżają „Polacy” ze wschodniej części Ukrainy, z Rosji czy Kazachstanu, rozumiem, że w większości to są potomkowie zesłanych tam Polaków. Ale oni nie mówią po polsku – nie pielęgnowali (nie bronili) swojego języka ojczystego, nie wspomnę już o wierze, której nie dochowali. A jednak tu otrzymują wszystko – naukę języka polskiego, pomoce, zasiłki, szkolenia, dotacje, pracę, nie wspomnę już o mieszkaniach. No i nie muszą się wstydić, że nie znają polskiego. Im jest wszystko jedno, w jakim mówią języku, mówią na potrzebę obecnej sytuacji. Sprowadza się poszkodowanych...

A najbardziej poszkodowani są Polacy z całego województwa lwowskiego, o których Polska zapomniała (może to tak celowo?). To są ci, którzy bronią polskiego języka ojczystego na co dzień. Którzy nie mogą wszędzie posługiwać się tym językiem na ulicy, bo zawsze znajdzie się ktoś i powie, że nie jest w swoim kraju. Jeszcze ze 3 pokolenia – i wymieszają się ten język ojczysty – przejdzie w jakiś polsko-ukraiński slang, *surżyk* – jak mówią na Ukrainie językoznawcy, zubożętnieją harde patriotyczne serca i już nie trzeba będzie się modlić po polsku, czy w ogóle modlić, nie trzeba będzie jechać do Polski, no chyba tylko za lepszym życiem, a nie do swoich... Ale to tylko taka dygresja, to taki żal wszystkich Polaków stamtąd, z którymi rozmawiam, gdy przyjeżdżam na wakacje do mamy.

Jaki był Pani pierwszy język?

Tak jak mówiłam, moim pierwszym językiem był polski, ale ukraiński nabyłam automatycznie... Też jako dziecko, które od maleńkości trafiło do żłobka i przedszkola. Mój młodszy brat, który chował się w domu

i z sąsiadami rozmawiał tylko po polsku, języka ukraińskiego nauczył się dopiero w szkole... A więc bardzo późno. Śmialiśmy się z niego, że mieszka na Ukrainie, a nie potrafi mówić w tym języku. W domu od zawsze rozmawialiśmy po polsku. Był to jednak język mówiony, gwara polska. Czytać i pisać najpierw nauczyłam się po ukraińsku. Chodziliśmy do kościoła rzymskokatolickiego.

W Mościskach są dwa kościoły – piękny gotycki kościół parafialny pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, a w 1991 roku odzyskano klasztorny kościół OO. Redemptorystów pw. św. Katarzyny, którego odbudowę zajął się o. Władysław Ziober. Wcześniej klasztor ten służył jako magazyn. O. Władysław Ziober, ksiądz urodzony na Rzadkowicach – przedmieściach Mościsk, przywrócił go do pełnej świetności. W 1996 r. sprowadził on z powrotem do Mościsk po 50 latach wygnania i tułaczki obraz MBNP przy udziale ks. abpa Mariana Jaworskiego. Obraz został ukoronowany papieskimi koronami. W uroczystość Matki Bożej NP 27 czerwca 2002 r. kościół św. Katarzyny wyniesiono do godności sanktuarium maryjnego, a jego pierwszym kustoszem został o. Władysław Ziober. Od 2009 roku zaczął się nowy okres w życiu parafian Mościsk – proboszczem został ksiądz ze Lwowa – o. Władysław Derunow, który obecnie zajmuje się również klasztorem po śmierci zakonnika.

Tak więc od małości czuliśmy różnicę, odmienność w stosunku do innych dzieci. Rodzice pilnowali naszej wiary, baczili, byśmy mówili po polsku, modlili się po polsku, w końcu nie zgadzali się na małżeństwa mieszane. To chyba było najtrudniejsze, bo miłość nie patrzy na narodowość... Ten zwyczaj był kultywowany przez Polaków w Mościskach właściwie do niedawna. Trwałości języka polskiego pomagał kościół rzymskokatolicki, który – mieliśmy to szczęście – nigdy nie był zamknięty w Mościskach. Przez wiele lat proboszczem był tam ks. Józef Legowicz. Przy kościele były prowadzone katechezy, istniała też *scholka*, „Mościskie słowiki”, do której należałam od dwunastego roku życia. Śpiewaliśmy pieśni religijne i ludowe, organizowaliśmy jasełka. Zespół prowadziła pani Krystyna Husarz z Sambora. Dzięki tej *scholi* po 1989 r. zaczęliśmy wyjeżdżać do Polski. Odwiedziliśmy chyba wszystkie

najważniejsze polskie miasta. Dużo jeździliśmy też po okolicznych miejscowościach, gdzie uświetnialiśmy otwieranie i święcenie odzyskanych kościołów czy kaplic. To był dla nas, Polaków, budujący okres, ale też niełatwy. Dla mnie najważniejszym przeżyciem z dzieciństwa było przystąpienie do pierwszej komunii świętej. Pamiętam katechezy przygotowujące nas do tego wydarzenia, które odbywały się przy kościele, na strychu. Oczywiście wszystko owiane było wielką tajemnicą, bo przecież ani takie zajęcia nie były legalne, ani uczestniczenie w nich dozwolone. Nie było też katechizmów, ale mieliśmy zeszytiki wypełnione pytaniami i odpowiedziami, które przekazywane były z rodziny do rodziny. Co ciekawe – pisane były literami ukraińskimi, ale czytaliśmy je po polsku! I to było moje pierwsze zetknięcie się z polskim językiem czytanim i pisanym... Moja mama często wspominała swoje przygotowywanie się do I komunii świętej – na pastwisku, pasąc krowy, wyciągając sobie nawzajem osty z nóg razem z koleżankami uczyły się katechizmu. U mnie już były nieco inne realia. Musieliśmy się z tych zeszytików nauczyć katechizmu, a potem zdawaliśmy u księdza egzamin. Naukę religii prowadził ze wszystkimi ks. Legowicz i to przez całe lata, bo był sam w kościele. Dopiero pod koniec mojej edukacji pojawiła się w Mościskach katechetka, która przejęła od niego część obowiązków.

Dzisiaj chyba nikt z młodych nie zrozumie, co to znaczy zakazane lekcje religii... Jak wyglądała w Mościskach konspiracja religijna?

Nie było konspiracji. Można powiedzieć, że ulgowo traktowano – przynajmniej w Mościskach – Polaków i Kościół. Pamiętam, jeszcze w szkole, w Wielką Sobotę, nasza nauczycielka powiedziała do nas, wyraźnie zwracając się do Polaków, a było nas w klasie 24 osoby, w tym 10 Polaków: *Pamiętajcie, żebym was nie widziała, jak idziecie święcić jajka!* A w Wielką Sobotę przed kościołem stali nauczyciele z naszej szkoły, moja nauczycielka też. Kiedy mnie zauważyła, pogroziła mi tylko palcem... Oczywiście nauczyciele musieli wykonywać polecenia, ale konsekwencji żadnych z powodu święcenia pokarmów w koszyczkach wielkanocnych nie było. Natomiast zawsze w czasie świąt, czy to była Wielkanoc, czy

Boże Narodzenie, bywały organizowane dla młodzieży szkolnej wyjazdy, czy to do Lwowa do muzeum, czy to na jakieś konkursy pieśni ukraińskich – ja należałam też do zespołu śpiewaczego przy szkole – w których obecność musiała być obowiązkowa. To był celowy zabieg – odrywanie nas od tradycji religijnej i polskości. Przecież polskość wszystkim – nam także – kojarzyła się też z religią i kościołem rzymskokatolickim. Wśród nauczycieli byli również Polacy. Oni nie chodzili do kościoła w Mościskach. Jeździli do Lwowa albo do Sambora, żeby nikt ich nie widział i nie doniósł na nich. Ja byłam jeszcze uczennicą ukraińskiej szkoły. Mój brat, który urodził się w 1988 r., uczęszczał już do polskiej szkoły. Nie pamiętam, jak wyglądał ten problem z prawosławnymi. Miałam koleżankę, której rodzice byli wówczas komunistami, ale na strychu przechowywali święte obrazy. Po 1989 roku wróciły na ściany domu, a jej mama stała się przy cerkwi działaczką społeczną...

Ks. Józef Legowicz musiał być szczególnie szanowany przez mieszkańców Mościsk...

To prawda. Przecież to, o czym powiedziałam wcześniej, to tylko jego zasługa. Katechezy, nasza *schola*, wyjazdy do Polski, otwieranie kościołów po wielu latach ich zamknięcia przez komunę. To on skupiał nas – młodzież polską – wokół kościoła, pilnował, byśmy nie schodzili na jakieś złe drogi... Jak się jest młodym i zbuntowanym,

to pokus nie brakuje. Wszyscy się wokół niego gromadzili! Pamiętam jego imieniny... Kaplica w Mościskach, która jest teraz trochę zaniedbana, po brzegi była wypełniona ludźmi, którzy przyjeżdżali ze wszystkich wiosek, należących do parafii w Mościskach. Modlitwom i życzeniom nie było końca... Parafianie go bardzo lubili i szanowali. Ks. Legowicz kilka lat temu został przeniesiony do Żółkwi i pracuje w kościele rzymskokatolickim. O tych tłumach podczas imienin ks. Legowicza przypominałam sobie w tegoroczny Wielki Czwartek, kiedy w naszym kościele w Skawinie byliśmy na uroczystościach kościelnych. Dla duchownych to ważny dzień, dzień kapłaństwa... Przybywających do świątyni księży, a było ich sześcioro, witała niewielka garstka ludzi, związanych pewnie z różami różańcowymi... Ten sam Kościół, a dwa różne światy...

Wróćmy jeszcze do języka polskiego... Jeśli dobrze rozumiałem, dopiero w drugiej – komunijnej klasie, zetknęła się pani z pisanym i czytanim językiem polskim... Dość dziwna edukacja – polski tekst pisany liternictwem ukraińskim...

Jak powiedziałam już wcześniej, katechizmu nauczyłam się po polsku czytając cyrylicą... Dopiero w 4. klasie poznałam w końcu alfabet łaciński, ucząc się języka angielskiego. Na podstawie tej „łacinki” mogłam zacząć czytać po polsku. Moją pierwszą książką był modlitewnik, jaki dostałam,



Rodzina Kosteckich w Mościskach z ks. J. Legowiczem

gdy miałam 10 lat. Zawsze lubiłam języki. Marzyłam nawet, że zostanę nauczycielką. Miałam wspaniałą nauczycielkę języka rosyjskiego. Pięknie opowiadała o literaturze rosyjskiej, o życiu poetów czy pisarzy i ich utworach. Ponieważ nigdy nie robiłam błędów, niezależnie od tego w jakim języku pisałam, ta nauczycielka dawała mi do poprawy dyktanda uczniów, którzy mieli najgorsze oceny. Wtedy już czułam się na jakimś etapie przygotowania do nauczycielstwa.

Proszę opowiedzieć, jak pani trafiła do Polski na studia?

Tradycyjnie. Szkoła 10-latką i matura. Od kilku lat, może 4–5, wiedzieliśmy, że można zdawać we Lwowie egzamin na studia do Polski. Z naszej parafii już garstka młodzieży tam studiowała. W dniu zakończenia szkoły pojechałam do Lwowa na egzaminy wstępne na studia do Polski. Wahałam się, bo na ten dzień tyle różnych spraw się nałożyło. Ale mama powiedziała: *Jedź, sprawdź. Sprawdź się... Mam 500 dolarów odłożonych na czarną godzinę, ale to starczy tylko na to, byś w Samborze skończyła szkołę sekretarek czy księgowych.* We Lwowie pisałam sprawdzian z języka polskiego i historii, której się sama uczyłam. Nie pamiętam, skąd podręczniki do historii zdobyłam! Miałam szczęście. Dostałam się na studia! Podejrzewam, że decydował egzamin ustny. To już wtedy po raz pierwszy zetknęłam się z profesorem Józefem Wróblem, który mnie egzaminował. Pytał o literaturę, co czytałam. Po tym egzaminie jednych kierowano na roczny kurs języka polskiego, a innych od razu na studia. Ja od razu dostałam się na studia do Kolegium Nauczycielskiego w Przemyślu. Byłam szczęśliwa, plusem też było to, że byłam niedaleko rodziny, domu, ale wpadłam na głęboką wodę, bo przecież nie znałam wystarczająco dobrze literatury polskiej ani historii. Język polski też nie był taki, który wyniosłam z domu. Co drugą sobotę profesor Józef Wróbel prowadził z nami zajęcia „wyrównawcze”, pomagał nam poznać język, historię czy kulturę kraju – rozmawiał z nami o historii, literaturze. Zabierał na wycieczki do Zamościa, Krakowa, Łańcuta. Pokazywał nam zabytki, opowiadał o historii. To była taka inna, przyspieszona edukacja z zakresu kultury polskiej. Bo początki, przynajmniej, były trudne. Na trzecim roku studiów napisałam

pracę licencjacką na temat obrzędów weselnych Polaków z Mościsk i okolic. Zebrałam dużo polskich piosenek i przyspiewek towarzyszących obrzędowi weselnemu. Moim promotorem wówczas był profesor Józef Kąś, który – jak się już później okazało – jest miłośnikiem i czynnym eksploratorem gwary góralskiej, zwyczajów i kultury górali. Po ukończeniu studiów licencjackich zawiązałam dokumenty do Krakowa na Uniwersytet Jagielloński. Zakochałam się od razu w Krakowie. Czekając kilka godzin na pociąg powrotny do Przemyśla, spacerowałam po Rynku krakowskim, wzdłuż Plant, stwierdziłam, że muszę tu zostać! Na drugim roku wybrałam promotora i temat pracy magisterskiej: *Słownictwo Mościsk i okolic*. Tylko jak tu zostać? Koleżanka z Krosna opowiadała mi, że złożyła ok. 60 podań o pracę i nie dostała żadnej odpowiedzi. Byłam przerażona! Chciałam wszystko mieć od razu. Niestety, wszystko się układało pomyślnie, ale powoli, wszystko w swoim czasie. Dzięki profesorowi Bogusławowi Dunajowi wdrażałam się do pracy słownikarskiej i z czasem trafiłam do pracowni *Słownika gwar polskich* w Zakładzie Dialektologii Polskiej, która mieści się przy Instytucie Języka Polskiego Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, tam do tej pory pracuję. Cierpliwość się opłaciła. Wcześniej jednak były studia doktoranckie, a doktorat napisałam na temat: *Polszczyzna południowokresowa na przykładzie Mościsk i okolic*.

I co dalej?

Habilitacja... Kartoteka *Słownika gwar polskich* zawiera około 2 mln fiszek, a jesteśmy przy literze H! Mówią, że nasza praca będzie trwała koło 400 lat! Dużo wyrazów przybywa, wiele zanika, jest zatem sporo bieżącej pracy. Na habilitację podjąłem się przeanalizowania zapożyczeń wschodniosłowiańskich w gwarach polskich. Jest to ciekawy temat, bo nasza kartoteka gromadzi słownictwo z wszystkich regionów kraju, a wśród nich notujemy zapożyczenia z języka ukraińskiego, rosyjskiego aż w Wielkopolsce czy nawet na Kaszubach. Dla mnie to tematyka bardzo wdzięczna, bo znam tę grupę języków wschodniosłowiańskich. Trzeba będzie też wrócić za kilka lat do polszczyzny południowokresowej i zobaczyć co z niej zostało, bo przez ostatnie lata bardzo dużo osób wyjechało. Nastąpi-

ły też duże zmiany w obyczajowości. Jest coraz więcej małżeństw mieszanych – polsko-ukraińskich. Z tym wiążą się nie tylko sprawy językowe, ale i wyznaniowe. Widać to gołym okiem. Teraz trzeba poczekać na język dzieci, ich świadomość językową. Oni będą musieli wybrać, zdecydować się na swoją tożsamość.

Pani się zakochała w Krakowie, ale męża – zresztą Polaka – przywiozła stamtąd...

Moje kuzynki, koleżanki, które tu przyjechały, z czasem znalazły chłopaków i pozakładały rodziny... Ja tak nie potrafiłam. Lubiłam się uczyć, nigdzie nie chodziłam. Owszem moją pasją stało się odwiedzanie zabytkowych miejsc. Jeszcze na studiach razem z koleżanką i jej chłopakiem (historykiem z wykształcenia) zwiedzaliśmy okolice Krakowa. To mi zostało – teraz ja często z rodziną jeżdżę po Polsce, pokazując znane mi już miejsca lub odkrywając nowe. Próbuję im pokazać Polskę, często miejsca, które odwiedziłam w dzieciństwie ze *scholą*. Ale od tamtego czasu tak wiele się zmieniło, że nie poznaję tych miejsc! A mój mąż jest moim kolegą z klasy i czekał na mnie w Mościskach. Rodzice też się ucieszyli, ale przede wszystkim dlatego, że pochodzi z polskiej rodziny. Wychodziłam za mąż na trzecim roku studiów doktoranckich. Mój mąż wtedy był pogranicznikiem, pracował na granicy polsko-ukraińskiej w Szechyniach. Często zastanawiałam się, jak to będzie, on tam, a ja muszę w Krakowie zakończyć doktorat. Lecz życie samo pisało scenariusz, jak głosi przysłowie – *człowiek myśli – Pan Bóg kryśli*. Miesiąc przed ślubem został zwolniony z pracy... I chcąc nie chcąc musiał przyjechać do Krakowa. Tak właściwie to pan Maciej Wojciechowski ściągnął go tutaj. Gdy nie mieliśmy się gdzie zatrzymać – wziął nas pod swój dach. Jego poznałam przez pana Andrzeja Chlipalskiego. Z czasem mąż znalazł pracę. Wszystko dzięki dobrej woli obcych ludzi, których Bóg stawiał na mojej ścieżce życia. Trzynaście lat mieszkalam w akademiku, cztery lata z dzieckiem. Często spacerowałam po uliczkach krakowskich, zaglądałam w okna kamienic i zastanawiałam się, z którego okna kiedyś ja wyjrzę i powiem, że znalazłam już swój kąt. Że znalazłam już swoją przystań, że mieszkam w Polsce. Pewnego dnia przy-

jechałam do domu rodziców i powiedziałam, że kupujemy mieszkanie w Skawinie, udzielono nam kredytu – i pamiętam minę mamy, która zdawałaby się mówić: *Córko, oszczędź sobie cierpienia, nie łudź się już dłużej*. A zaraz potem wizytę rodziców, którzy wówczas powinni byli być na grobach swoich zmarłych rodziców (był to 1 listopada), a oni przyjechali sprawdzić – czy to prawda, co mówiłam, czy nas czasem nie oszukali... Czy ten dom to nie jakaś ruder... Za rok już minie 10 lat naszego pobytu w Skawinie (mojego spokoju psychicznego – że mam już swój dom; dopiero po kilku latach zamieszkania w Skawinie przestały mi się regularnie co kwartał śnić koszmary, że muszę się wyprowadzić z akademika – a nie mam dokąd). Miasto jest piękne, trochę przypomina mi Mościska, i tu jest nasz dom... Choć czasem tęsknię do Mościsk, to chyba nigdzie nie będzie mi tak dobrze jak w Krakowie. Tu można swobodnie mówić po polsku i nikt mi nie zwróci uwagi, że mówię po polsku!

Serdecznie dziękuję pani za rozmowę!



Dr Anna Kostecka-Sadowa. Pracownik Instytutu Języka Polskiego Polskiej Akademii Nauk w Krakowie. Autorka książek *Słownictwo gwar polskich w Mościskach i okolicach* (2008), *Rzeczownikowe zapożyczenia wschodniosłowiańskie w gwarach polskich* (2015). Mieszka w Skawinie z mężem Marianem Sadowym, córkami Justyną i Julią, uczennicami szkoły podstawowej.

Oczami dziecka

Urodziłam się na Ziemiach Wschodnich i tam mieszkalam do marca 1945 roku. W chwili wybuchu wojny miałam 10 lat i pamiętam każdą chwilę przeżytych w tych pierwszych, strasznych i smutnych wrześniowych dniach.

Był gorący, piękny letni dzień, cisza – sady uginające się od urodzaju kolorowych owoców, pola pełne niezebranych jeszcze upraw. Było to najpiękniejsze miejsce na ziemi – Kosów Huculski, miasteczko letniskowe nad malowniczą, górską rzeką Rybnicą, z pięknymi pensjonatami: Bajka (cała obrosnięta różami), Modrzewiowa, Kresy, Na Skale oraz słynnym w tych latach Zakładem Przyrodoleczniczym dra Tarnawskiego.

Miałam rodziców i dwoje rodzeństwa i pamiętam, jak ojciec wszedłszy rano do naszego pokoju – powiedział: *Dziś Niemcy wypowiedziały nam wojnę i wkroczyły do Polski*. Zaczął płakać jak dziecko.

Czuję jeszcze teraz ból i żal ojca – był legionistą, patriotą, odznaczonym wielokrotnie medalami i najwyższym krzyżem zasługi – *Virtuti Militari* za udział w niepodległościowych walkach – Rafałowa, Nadwórna, Kaniów i wiele innych bitew. Przebywał w więzieniu w Magdeburgu. Przez kilka pierwszych wrześniowych dni rodzice rozpaczali. Ojciec powtarzał: *Nie ma już Polski, o którą walczyłem, nie ma Piłsudskiego...*

Była to połowa września, bawiłam się z dziećmi w sadzie, kiedy w ciszy usłyszeliśmy szum jadących naszą ulicą aut. Podbiegliśmy do parkanu i ze zdumieniem zobaczyliśmy piękne limuzyny, a w nich polski rząd. Elegancko ubrani, w pięknych mundurach – Rydz Śmigły ze swą generałską, Ignacy Mościcki, Józef Beck – znałam ich twarze ze zdjęć w gazetach, które czytał ojciec. Całą kolumnę prowadził nasz starosta, jechali na nocleg do pensjonatów, które mieściły się właśnie przy naszej ulicy. Pamiętam, jak Rydz Śmigły pomachał nam dzieciom i uśmiechnął się do nas. Pięknie wyglądała cała kawalkada – generałów, oficerów i ich rodzin w eleganckich ubraniach.

U nas, w naszej willi zamieszkało dwóch panów w cywilu z wywiadu z Dwówki, którzy powiedzieli ojcu, że na drugi dzień udają się do Rumunii, na emigrację. Namawiali go, żeby z całą rodziną wyjeżdżał razem z nimi, że mają wolne miejsca w samochodach. Tłumaczyli, że tu wkroczą wojska sowieckie.

Następnego dnia rano cała kolumna aut z powrotem przejechała koło naszego domu udając się w stronę Kut (10 km do granicy z Rumunią). Dołączyli do nich panowie z wywiadu, którzy serdecznie z nami się pożegnali, mówiąc: *Do zobaczenia*. Z nimi wyjechali wyżsi urzędnicy naszego miasta z rodzinami, a mianowicie: starosta, burmistrz, komendant policji, sędzia oraz właściciele pensjonatów, w których nocował rząd. W ten oto sposób uratowali swoje życie. Ojciec się nie zdecydował, bał się z trogiem małych dzieci wyjeżdżać w obce strony.

Zaczęliśmy się przygotowywać do nieznanego; chować cenne rzeczy, obrazy, książki, legionowe pamiątki. Kilka dni później wieczorem zajechał pod dom duży, wojskowy motocykl. Przyjechał mamusi najmłodszy brat, lotnik (późniejszy uczestnik bitwy o Anglię), który ze swoim kolegą jechał do Rumunii po samoloty. I znów w domu odbyły się rozmowy o przejściach młodych lotników walczących w obronie Ojczyzny, i znów na drugi dzień przeżyliśmy kolejne pożegnanie, tym razem na 40 lat.

Z września zapamiętałam jeszcze wkroczenie wojsk sowieckich, zajęcie przez NKWD urzędowych budynków, pierwsze aresztowania inteligencji polskiej, wywóz na Sybir. Pewnego dnia, kiedy wracałam ze szkoły – już rosyjskiej (przywieźli swoich nauczycieli), zobaczyłam nadjeżdżający wóz, zaprzężony w jednego konika, z moją ukochaną wychowawczynią i jej starszą już matką. Eskortowane przez jednego rosyjskiego żołnierza, jechały w nieznanne. Przyszłam z płaczem do domu, pytałam rodziców, gdzie ich wiozą? *Na Sybir* – odpowiedział ojciec. Wywieziono wielu ludzi, u nas zamieszkał politruk, towarzysz Andriej, który nas obserwował...

Zaczęły się smutne, ciężkie czasy okupacji, która szczególnie na tych ziemiach przejawiała się w okrutnych działaniach Niemców, Rosjan i Ukraińców.

Z Kamionki Strumiłowej przez Rzeszów do Krakowa

Urodziłam się w czasie II wojny światowej w mieście powiatowym Kamionka Strumiłowa nad Bugiem, blisko Lwowa. Miasto miało starostwo, zabytkowy kościół katolicki, cerkiew ukraińską, drewnianą synagogę spaloną w czasie wojny przez Niemców. Było w nim kilka szkół i gimnazjum. Był też zamek, niegdyś warowny, z czasów Księstwa Litewskiego, którego śladem jest wyniosłe wzgórze. Przebiegała tędy ważna arteria kolejowa ze Lwowa na Łuck, a stamtąd – na różne strony ówczesnych kresów Polski. Przodkowie ze strony mamy zasiedziali byli w tych stronach od pokoleń, a rodzina ze strony ojca pochodziła z dawnego osadnictwa mazowieckiego na Wołyniu. Z opowieści rodziców wiem to, czego nie pamiętam, gdyż miałam wówczas niespełna rok, że uciekliśmy z rąk banderowców ukraińskich latem 1943 roku. Zamieszkaliśmy na leśnictwie w miejscowości Strychawka, gdzie ojciec był leśniczym.

Życzliwy, a raczej uczciwy gajowy Ukrainiec ostrzegł ojca w porę: *Oni już o pana pytają, niech pan z rodziną wyjeżdża*. Uciekliśmy więc do dziadków – do naszego miasteczka, gdzie pozostaliśmy do jesieni 1944 roku. Dowiedzieliśmy się później, że w leśnej okolicy, gdzie mieszkaliśmy, następnej nocy banderowcy zamordowali pięć rodzin polskich.

Mając około roku, zachorowałam na zapalenie płuc i stawiano mi pijawki, aby „odciągnęły złą krew”.

Zapewne mogłam umrzeć, ale uratował mnie lekarz niemiecki, który zastosował penicylinę, i to pomogło, a byłam bliska śmierci po raz pierwszy w życiu.

Pamiętam swój chrzest w parafialnym kościele św. Anny w Kamionce jesienią 1944, miałam wtedy dwa i pół roku. Kościół był zamknięty i było w nim mroczno, dla niepoznaki był to zwykły dzień, powszedni dzień, bo wróciła okupacja sowiecka. Ksiądz prałat Józef Czyrek udzielił mi chrztu.

Mama, babcia oraz rodzice chrzestni wprowadzili mnie za ręce do nawy bocznej kościoła, gdzie była chrzcielnica i czekał ksiądz. Uciekałam od ołtarza ku drzwiom, ale

złapała mnie moja chrzestna – ciocia Stasia. Pamiętam, jak ksiądz podał mi szczyptę soli na język i połał czoło święconą wodą.

Mieliśmy wyjeżdżać z naszego kresowego miasteczka. Władze sowieckie prowadziły szeroko zakrojoną akcję *repatriacyjną*, toteż opuściliśmy nasz dom w Kamionce późną jesienią 1944 roku.

Dziadzio powierzył dom sąsiadom, uczciwym Ukraińcom. Dziadzio powtarzał: *Front przejdzie, wojna się skończy, a my tu wkrótce powrócimy*. Stało się, jak wiadomo, inaczej. W 1994 roku, kiedy odwiedziłam po raz pierwszy po wojnie tamte strony, dom nadal był niczyj, jakby na nas czekał, zamieszkiwali go traktorzyści z pobliskiego kołchozu.

Transport ze Lwowa do Rzeszowa w bydłych wagonach trwał kilka dni. Pociąg zatrzymywał się na wielu stacyjkach, zabierając po drodze „repatriantów”. My jechaliśmy w jednym wagonie z fortepianem i krową. Z fortepianu był mały pożytek, bo nikt wtedy na nim nie grał, ale z krowy był – bo przynajmniej było mleko dla dziecka.

Ulokowano nas w rodzinie państwa Szarów w Trzebowniku pod Rzeszowem – dziadzia, babcię, tatę, mamę i mnie. Ludzie byli dobrzy, opiekowali się nami, żywili nas, a ja odwdzięczałam się za życzliwość tych ludzi, deklamując niezliczoną ilość razy przed gospodynią ten oto wierszyk:

*Młoda pszczołka słodczy czuje,
A ja pani Szarowej powinszuję:
Aby pani długo żyła,
A po śmierci w niebie była!*

Zimą 1944/1945 szła ofensywa sowiecka na zachód. Forsowali Wisłok, słychać było wystrzały artyleryjskie, schodziliśmy niekiedy chronić się do piwnicy. Pewnego zimowego dnia, był już zmierzch, rodzice wzięli mnie na sanki. Nagle usłyszeliśmy serię pocisków z karabinu maszynowego. Uciekaliśmy wśród świstu kul...

Warto przeczytać o ekspatriacji, przeżywanej przez małą, potem podrastającą dziewczynkę. Niewiele mamy relacji, widzianych od tej strony.

Jubileusz 50-lecia matury 1934

absolwentów I Państwowego Gimnazjum matematyczno-przyrodniczego im. Mikołaja Kopernika we Lwowie, Kraków, 10 czerwca 1984 r.

z dopiskiem dr. Tadeusza Krzyżewskiego:

oraz Zjazd Maturalny roczników 1930–1939, absolwentów I Państwowego Gimnazjum matematyczno-przyrodniczego im. Mikołaja Kopernika we Lwowie, ul. Kubali.

Koledzy! W tych dniach czerwca br. obchodzimy jubileusz 50-lecia matury. Dla jednej grupy kolegów dzieje się to w okresie niemal dokładnie odmierzonego półwiecza, u początków którego składali oni egzamin dojrzałości, dla innych okoliczność ta stanowi przypomnienie, że taki egzamin i w podobnych okolicznościach złożyli oni wcześniej lub później w okresie międzywojennej działalności Szkoły.

W takim momencie nasilają się wspomnienia młodzieńczego, zbiorowego życia w szkole, rodzi się dążenie poznania genezy Szkoły, jej późniejszego rozwoju, jej dziejów przed zakończeniem działalności. Nasuwa się myśl nakreślenia historii oraz upamiętnienia kadr wychowawców i wychowanków Szkoły.

Kronika ważniejszych wydarzeń w życiu naszej szkoły przedstawia się następująco:

- 1811 – w styczniu zezwolenie władzy cesarskiej na utworzenie szkoły realnej we Lwowie,
- 1817 – w listopadzie otwarcie 1 klasy 3-letniej Szkoły Realnej na placu Castrum we Lwowie,
- 1834 – dołączenie do szkoły oddziału handlowego i nadanie jej nazwy Akademia Rolniczo-Handlowa oraz zrównanie w prawach z gimnazjum,
- 1844 – utworzenie oddziału technicznego w Akademii i otwarcie Akademii Technicznej w nowym budynku przy ul. Ormiańskiej,
- 1848 – artyleryjskie bombardowanie Lwowa na skutek niepokojów i manifestacji młodzieży i studentów, spalenie gmachu Akademii i zniszczenie zbiorów naukowych,
- 1850 – odbudowa budynku Akademii przy ul. Ormiańskiej i rozpoczęcie nauki w Szko-

le Realnej, a następnie w pozostałych oddziałach Akademii,

1856 – odłączenie szkoły od Akademii Technicznej i przeorganizowanie jej na Wyższą Szkołę Realną o 6 klasach,

1867 – wprowadzenie do szkoły j. polskiego jako wykładowego,

1871 – najwyższy stan ilościowy: ponad 1000 uczniów w Szkole, w 15 oddziałach po 70 uczniów,

1872 – powstanie 7-klasowej Wyższej Szkoły Realnej nowoczesnego typu,

1873 – złożenie egzaminu dojrzałości przez pierwszych 52 absolwentów Szkoły,

1876 – Wyższa Szkoła Realna obejmuje budynek przy ul. Kamiennej 2, ufundowany przez Gminę miasta Lwowa,

1892 – patronem Szkoły zostaje św. Kazimierz, uroczyste obchody 4 marca,

1894 – zakaz stosowania kary cielesnej w stosunku do uczniów,

1894 – wprowadzenie obowiązkowych mundurków szkolnych,

1898 – oddanie kościoła PP. Klarysek do użytku młodzieży WSRealnej,

1914 – zmiany w programie nauczania,

1921 – ukazało się 44 (ostatnie z opublikowanych) sprawozdanie Szkoły, nazwanej odtąd I Państwowym Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika we Lwowie,

1921 – zorganizowanie i rozpoczęcie nauczania wg programu 8-klasowego gimnazjum matematyczno-przyrodniczego,

1935 – reorganizacja Szkoły na 6-klasowe Gimnazjum ogólnokształcące i 2-klasowe Liceum matematyczno-fizyczne,

1939 – w czerwcu ostatnie egzaminy w Gimnazjum i Liceum wg organizacji międzywojennej,

1940 – we wrześniu wprowadzenie j. ukraińskiego do Szkoły, odpływ uczniów po-

chodzenia polskiego, zaprzestanie działalności szkoły polskiej.

W rysie historycznym Szkoły zasługują na uwagę zmiany ewolucyjne w XIX stuleciu, od początkowej organizacji opartej na wzorach wiedeńskich, przez długoletnie współistnienie z Akademią Techniczną (późniejszą Politechniką Lwowską) i usamodzielnienie się Wyższej Szkoły Realnej.

Znany jest też zespół profesorów uczących w momencie założenia Szkoły w roku 1817, jak i w pewnych okresach w późniejszym czasie. Źródła wskazują, że Szkoła kształciła niemal wyłącznie młodzież polską. Funkcję tymczasowego pierwszego kierownika Szkoły pełnił scholastyk katedralny ks. Minasiewicz, a kolejnymi dyrektorami byli: Alojzy Aleksander Uhle, dr Florian Schindler, prof. Aleksander Reisinger, Stanisław Chlebowski.

Po utworzeniu w r. 1872 Wyższej Szkoły Realnej funkcje dyrektorów pełnili: dr Czesław Rodecki do r. 1889, dr Teofil Gerstmann do r. 1906, prof. Artur Passendorfer w r. 1907, Michał Rembacz 1908–1914, Władysław Żłobicki 1914–1919, Julian Mazurek 1920–1923, dr Bazyl Kalicun-Chodowicki 1924–1932, prof. Tadeusz Urbański kier. szkoły w r. 1933, Wiktor Fiszer 1934–1935, dr Mieczysław Ziemnowicz w r. 1936, dr Emil Urich 1937–1939, Ratner z Kijowa w r. 1940.

W pierwszym okresie swojej działalności po r. 1872 WS Realna, mimo że prowadziła naukę w jęz. polskim, walczyła z uprzedzeniami rodziców co do nowości, uczniowie odczuwali brak podręczników w j. polskim, niska była frekwencja uczniów z powodu chorób i nadmiernej liczby świąt wolnych od nauki. Nauczyciele byli bardzo oddani i ofiarni w pracy oraz patriotycznie wyrobieni i nastawieni.

Liczba uczniów w WS Realnej ulegała dużym wahaniom. Od najwyższego stanu ponad 1000 uczniów w r. 1871 obniżyła się w r. 1888 do 277, a następnie wzrosła do 524 w r. 1913. W r. 1920 liczba uczniów sięgała 486, a w następnych latach ustabilizowała się na poziomie ok. 300

uczniów. Przybliżone wyliczenia wykazują, że w okresie do I wojny światowej egzaminy maturalne złożyło ok. 1700 osób, a w okresie międzywojennym ok. 700, czyli łącznie ok. 2400 osób. Ogólna liczba uczniów w ciągu 67 lat istnienia szkoły polskiej, uwzględniając przepływ uczniów, oceniana jest w sumie na ok. 3000 osób.

Statystyki szkolne potwierdzają, że Szkoła była wybitnie polska. Udział uczniów narodowości ruskiej w ostatnich latach XIX w. wynosił 4,4%, w l. 1913–15, 9% a w r. 1920 – 3,1%. Udział uczniów pozostałych narodowości był znikomy. Uczniów wyznania mojżeszowego było w r. 1889 – 13,9%, w r. 1913 – 13,5%, a w r. 1920 – 8,8%.

Pierwsze programy nauczania oparte były na przedmiotach ścisłych, matematyce i fizyce, na j. niemieckim i polskim. Do przedmiotów nadobowiązkowych zaliczano historię kraju rodzinnego, języki zachodnie, gimnastykę i śpiew. Już w XIX w. czynne były biblioteka uczniowska i nauczycielska oraz gabinety do ćwiczeń: geograficznych, historii naturalnej, fizyki, chemii, rysunków geometrycznych i rysunków odręcznych.

Znamy nazwiska 52 absolwentów, którzy w r. 1873 złożyli maturę w WSR, oraz nazwiska 22 z nich, którzy brali udział w zjeździe w r. 1893. Około połowa absolwentów odebrała następnie wykształcenie politechniczne wzgl. uniwersyteckie i objęła stanowiska w administracji, w przemyśle i w wojsku.

W historii Wyż. Szk. Realnej dużą rolę odegrała kilkusetosobowa kadra profesorów i nauczycieli. Jej wysokie morale, poczucie narodowości polskiej i obszerna znajomość



przedmiotów określały poziom nauczania i osiągnięcia jej przyszłych absolwentów. W składzie pierwszego po r. 1872 grona znaleźli się profesorowie: dr Karol Benoni, prof. Daszyński, Franciszek Huppenthal, ks. Antoni Lewandowski, Erazm Misiński, Michał Służewski, Franciszek Waligórski. U schyłku ub. wieku wykłady prowadzili: dr Teofil Gerstmann, Franciszek Pohorecki, Henryk Zbierzchowski, dr Józef Limbach, Franciszek Janelli, Robert Rischka. Przed I wojną św. wykładali: Artur Passendorfer, Władysław Rembacz, Franciszek Berger, dr Zdzisław Thullie, Karol Rutkowski, Franciszek Walczak, ks. dr Szydelski, Tadeusz Urbański.

Po I wojnie sięgamy coraz częściej własną pamięcią do nazwisk profesorów i wspominamy ich styl nauczania. Część z nich ustabilizowała się na dłuższy czas, wśród pozostałych następowały zmiany. W pierwszych latach uczyli profesorowie: dr Karol Kwieciński, Wincenty Kubik, Franciszek Walczak, Zdzisław Palinowski – j. polskie, Stanisław Bełzowski, Tadeusz Urbański – geografii i historii, Franciszek Berger – geometrii wykreślnej, Tadeusz Cwojdzński, Stefan Juński, Władysław Probulski, Zdzisław Thullie, St. Ruxer – matematyki, Seweryn Bilinkiewicz, Jan Andrószewski – fizyki i chemii, ks. Jakub Demitrowski – religii rzym.-kat., Zygmunt Czerny, Amelia Łapczyńska – j. francuskiego, Ludwik Schneider i Gerard Pola – j. niemieckiego, Mieczysław Łopuszański – przyrodoznawstwa, Zygmunt Łuszczyński i Henryk Cieśla – rysunku.

W latach 30. główne pozycje w gronie profesorów stanowili: dr Karol Kwieciński, Tadeusz Strojny, ks. dr Andrzej Mołdoch, dr Adam Patryn, Tadeusz Urbański, Stanisław Bełzowski, Amalia Łapczyńska, Michajło Rozdolski, Władysław Byjos, Karol Rutkowski, dr Stanisław Zych, Stanisław Wołoszynowski, Mieczysław Świerczyński, dr Marian Westwalewicz. Wspomniana kadra została częściowo wymieniona w ostatnim okresie przed II wojną światową, a do najmłodszych stażem pedagogów należeli: Mikołaj Pańczuk, Jakub Szandel, ks. dr Stanisław Huet, Józef Gajek, Jan Mierzwa, Franciszek Mendela, Józef Zdąbłasz.

W składzie obsługi gimnazjum należy wymienić długoletnich tercjanów Szkoły: Michała Kulczyckiego, Michała Binkę, Macieja Grajewskiego i Józefa Puchałę.

Do ogólnie znanych i powszechnie uznawanych profesorów w XX wieku, związanych z naszą Szkołą należeli: Józef Hildebrandt – prof. Politechniki Lwowskiej, Franciszek Pastuszyński – prof. Akademii Rolniczej, Józef Steinbach – prof. Politechniki Lwowskiej, ks. Adam Sapieha, Eugeniusz Romer – geograf i kartograf, Jan Szarota – autor podręcznika j. francuskiego, Witold Rybczyński – prof. Politechniki Lwowskiej, Józef Markowski – prof. Uniwersytetu im. Jana Kazimierza, Ludwik Kubala – prof. historii. Wśród absolwentów Szkoły znajdujemy nazwiska znanych malarzy artystów: Feliksa Wygrzywalskiego, Stanisława Batowskiego i Teodora Axentowicza, a także filozofa prof. dr. Romana Ingardena (1893–1971).

Z okresu uczęszczania do Szkoły wspominamy kółka zainteresowań, kółka naukowe, harcerstwo, zespoły amatorskiego teatru i chóru, wycieczki terenowe, sport i rozgrywki sportowe. Znaczenie współżycia koleżeńskiego wzrastało w miarę upływu lat uczęszczania do Szkoły. Szkoła posiadała własną salę gimnastyczną, a w okresie letnim korzystała z urządzeń sportowych T.Z.R. przy ul. Stryjskiej. Szkoła integrowała młodzież pochodzenia mieszczańskiego, robotniczego podmiejskiego i wiejskiego. Szkoła posiadała własny sztandar, z którym występowała na wszystkich uroczystościach.

Zadaniem nas wszystkich było uzyskanie postępów w nauce uprawniających do przejścia do następnej klasy i zdania egzaminu maturalnego. Do osiągnięcia tych celów prowadziła najczęściej własna metoda nauki, a dodatkową motywacją działania była możliwość osiągnięcia zniżki czesnego. Nagrodą za pracę była promocja maturalna, później następowały studia wyższe lub samodzielna praca.

Dzisiaj odczuwamy niewypowiedzianą tęsknotę za tamtymi chwilami młodości i nauki oraz wyrażamy swoją wdzięczność wychowawcom i środowiskom, w którym się kształciliśmy, żyli dążąc do osiągnięcia swoich celów. Niejednokrotnie pozostajemy wyrazicielami opinii, że wszystko co uzyskaliśmy w życiu zawdzięczamy tamtym uczniowskim latom.

Autor tekstu A. Bradecki zmarł w 1990 r. Powyższy materiał pochodzi ze zbiorów dr. Tadeusza Krzyżewskiego.

Stanisławowska krew

STEFAN

KUDELSKI

(1929–2013)

Młodość

Stefan Kudelski (1929–2013) urodził się w Warszawie, natomiast jego rodzina pochodziła ze Stanisławowa. Dziadek Jan Tomasz Kudelski (1861–1937) był architektem miejskim w Stanisławowie. Ukończył studia na Politechnice Lwowskiej w 1888 r. Pod koniec wieku XIX zaprojektował i zbudował budynek Dyrekcji Kolei Państwowych w Stanisławowie. Zaprojektował wiele kamienic, między innymi przy ulicy Kazimierzowskiej, a także pasaż Gartenbergów, który do dziś jest ozdobą miasta. Jan Tomasz był znany także z tego, że prowadził otwarty „cygańskoartystyczny” dom. Bywali w nim Jan Kasprowicz oraz Stanisław Przybyszewski. Po zakończeniu I wojny światowej Jan Tomasz uczestniczył w odbudowie miasta. To jemu centrum Stanisławowa zawdzięcza dzisiejszy wygląd.

Ojciec Stefana Kudelskiego – Tadeusz też studiował na Politechnice Lwowskiej. W 1918 r. wziął udział w obronie Lwowa i był adiutantem prof. Kazimierza Bartla. Gdy profesor Bartel został premierem, sprowadził swego byłego adiutanta do stolicy i Stefan urodził się już w Warszawie. Jego ojciec przyjaźnił się z inż. Eugeniuszem Kwiatkowskim, gen. Kazimierzem Sosnkowskim, a ojcem chrzestnym Stefana był ówczesny prezydent Warszawy Stefan Starzyński.

Dziadkowie Stefana od strony jego matki Ireny była to polsko-węgierska rodzina Ulbrichów. Takich mieszanych rodzin było w Stanisławowie kilka. Należała do nich rodzina Olszańskich. Tadeusz Olszański był lekarzem i miał za żonę Węgierkę – Katarzynę. Mieli oni syna Tadeusza, który był rówieśnikiem Stefana Kudelskiego. Rodziny Olszańskich i Ulbrichów przyjaźniły się.

Ulbrichowie mieszkali w Stanisławowie i mieli na przedmieściu miasta willę z ogro-



dem. Dostrzegając zainteresowania wnuka elektrycznością, urządzili mu małe laboratorium elektryczne. U dziadków, a raczej w tym laboratorium, spędzał Stefan swe wakacje i wszelki wolny czas. Tam przeprowadzał swe pierwsze doświadczenia i przeżywał fascynację elektrycznością. Tam też porażał prądem swego przyjaciela Tadzika Olszańskiego. Takie są polsko-węgierskie korzenie wybitnego „szwajcarskiego elektronika polskiego pochodzenia”, jak go niekiedy przedstawiały zagraniczne publikacje.

Po klęsce kampanii wrześniowej rodzina Kudelskich ewakuowała się z Warszawy przez Zaleszczyki do Rumunii, a następnie do rodziny na Węgry, skąd udali się do Francji, gdzie zaczęła się tworzyć armia polska. Po klęsce Francji ojciec Stefana Kudelskiego, oficer Wojska Polskiego, brał udział w działaniach francuskiego ruchu oporu na terenach administrowanych przez rząd Vichy. Po wykryciu przez władze niemieckie siatki konspiracyjnej rodzinie Kudelskich udało się uciec do Szwajcarii.

Nauka i praca

W 1943 r. Stefan Kudelski rozpoczął naukę w szkole średniej Collège Florimont w Genewie. Jeszcze przed jej ukończeniem zbudował laboratorium, w którym zajmował

się urządzeniami do ekstrakcji pyłów, a także urządzeniami do mierzenia dokładności zegarów przy użyciu generatorów kwarcowych. W 1948 r. rozpoczął studia na kierunku fizyki na Politechnice w Lozannie (EPUL – Ecole Polytechnique de l'Université de Lausanne). Studiów jednak nie ukończył, bo zajął się konstruowaniem magnetofonów. Jedną z jego pierwszych konstrukcji był przenośny magnetofon lampowy ze sprężynowym napędem taśmy. Swoją pierwszy własnoręcznie wykonany magnetofon sprzedał dla rozgłośni Radio Genève za 1000 franków. W owym czasie była to na tyle znacząca kwota, że umożliwiła mu utworzenie w 1951 r. własnej firmy.

Firma Kudelski rozpoczęła produkcję przenośnych magnetofonów reporterskich, nazwanych przez niego „Nagra”. Siedzibami firmy początkowo były Prilly i Paudex na przedmieściach Lozanny, a następnie Cheseaux-sur-Lausanne. Pierwszy magnetofon lampowy monofoniczny, z elektrycznym napędem taśmy, nosił nazwę Nagra I, produkowany był od roku 1951, a w 1952 r. otrzymał I nagrodę w międzynarodowym konkursie CIMES (Concours International du Meilleur Enregistrement Sonore) w Lozannie. W 1957 r. na rynek wszedł magnetofon tranzystorowy z elektronicznym sterowaniem szybkości przesuwu taśmy Nagra III. Był to pierwszy magnetofon przenośny o jakości nagrywania porównywalnej do jakości nagrywania przez urządzenia studyjne. Do jego zalet należały trwałość, precyzja wykonania i niezawodność. Był to magnetofon szpulowy, z taśmą o szerokości 1/4 cala, zasilany bateriami. W 1959 r. firma rozpoczęła produkcję magnetofonów do nagry-

wania danych, m.in. na potrzeby lotnictwa. Wszystkie te magnetofony zaliczały się do najwyższej klasy światowej, stały się podstawowym wyposażeniem reporterów radiowych, telewizyjnych i studiów filmowych oraz były powszechnie używane na całym świecie. Doskonała jakość magnetofonów Nagra, ich szybka produkcja, wyprzedzająca innych, spowodowały, że Kudelski wygrał z konkurencją. Decyzja o przerwaniu studiów okazała się słuszną.

W 1968 r. doszło do przekształcenia firmy z prywatnej w spółkę akcyjną Kudelski SA. W tym samym roku powstał pierwszy magnetofon Nagra IV, w którym zastosowano tranzystory krzemowe. W latach 70. ubiegłego stulecia firma wyprodukowała kolejne serie magnetofonów Nagra IV. Produkcję magnetofonów stereofonicznych Nagra IV-S Kudelski SA rozpoczął w 1971 r. Były one użytkowane przez reporterów, w przemyśle filmowym, fonograficznym oraz w kinach. Znalazły również zastosowanie w radiofonach wielu krajów, w tym w Polskim Radiu. W 1972 r. firma wprowadziła na rynek dwuścieżkowe magnetofony Nagra IV-SJ jako oprzyrządowanie dla różnych celów przemysłowych. Późniejszy model Nagra TI był wykorzystywany do celów wojskowych. Od 1977 r. firma rozpoczęła produkcję odbiornika przeznaczonego do odbioru map pogodowych. Był to model Nagrafax, który z czasem wszedł do wyposażenia statków pełnomorskich. W 1983 r. Kudelski SA rozpoczął produkcję przenośnych wideomagnetofonów wysokiej klasy VPR-5 we współpracy z firmą Ampex.

Firma potrafiła dostosować się do zmiany techniki analogowej na cyfrową, jaka nastą-



Nagra I



Nagra III

piła w elektronice. Wprowadziła do produkcji cyfrowe rejestratory danych wykorzystujące technikę kodowania impulsowego oraz stworzyła prototyp magnetofonu opartego na pamięciach elektronicznych. Od początku lat 90. firma rozpoczęła produkcję cyfrowych magnetofonów o nazwie Nagra-D i Nagra Ares-C. Od 1989 r. zajmuje się również systemami kodowania dla telewizji cyfrowej, opracowywaniem kart deszyfrujących oraz systemami wideoteki na żądanie.

Magnetofony Nagra znalazły szerokie zastosowanie w przemyśle filmowym (zostały użyte już w roku 1959 przy kręceniu filmu *Czarny Orfeusz*). Firma Kudelskiego została wyróżniona czterema nagrodami Amerykańskiej Akademii Filmowej za zasługi dla udźwiękowienia filmów. Zdobyła także dwukrotnie nagrodę przemysłu rozrywkowego Emmy oraz Złoty medal L. Warnera. W 2008 r. na Festiwalu Filmu Polskiego, odbywającego się w Chicago, otrzymała nagrodę „Skrzydła”. Kolejną nagrodę za cyfrowy 6-kanalowy model Nagra VI wyposażony w dysk twardy otrzymała firma w Nowym Jorku w roku 2009.

W trakcie swojej działalności Stefan Kudelski uzyskał liczne patenty w dziedzinie



Stefan Kudelski odbiera Oscara w 1978 r., od lewej aktorki Maggie Smith, Maureen Stapelton

napędu taśmy i stabilizacji jej szybkości. W 1986 r. otrzymał tytuł *doctora honoris causa* Politechniki w Lozannie. W 1998 r. został zaliczony do grona genialnych wynalazców szwajcarskich.

Obecnie przedsiębiorstwo pod nazwą Kudelski Group obejmuje 15 firm z siedzibami w różnych krajach, takich jak: USA, Singapur, Norwegia. Nowa działalność firmy obejmuje systemy bezpieczeństwa i kontroli dostępu, posiada 40% udziałów w rynku dekodowników telewizji cyfrowej. Od 1991 r. kierownictwo nad firmą sprawuje syn Stefana Kudelskiego – André.

Wybitny elektronik, Polak Stefan Kudelski, zmarł 26 stycznia 2013 r. w Cheseaux-sur-Lausanne w Szwajcarii.

Wnioski końcowe

Stefan Kudelski o rodzinnym pochodzeniu kresowym stał się jednym z najwybitniejszych elektroników, zaliczanym do grona genialnych wynalazców szwajcarskich. Magnetofony analogowe jego konstrukcji były tak doskonałe, że potrafiły wygrać konkurencję z magnetofonami japońskimi, co wydawało się nieprawdopodobne. Był wybitną osobistością swojego czasu, stworzył firmę o zasięgu światowym. Jego magnetofony Nagra stały się marką rozpoznawalną w świecie. Zawędrowały zarówno na najwyższy szczyt świata Mount Everest z wyprawami wysokogórkimi, jak i do najgłębszych punktów oceanów wraz z oceanografem Jacques Piccardem.



Odebranie Oscarów 1991

Tego nie można zapomnieć!

Niech ludzie mówią co chcą,
Że to nie logiczne i dawno już było,
Że sensu to nie ma – ktoś powie.
A ja nie mogę, nie umiem zrozumieć!
A ja nie potrafię zapomnieć o Lwowie!

Bo jakżesz można wyrwać coś z serca,
Co raz ukochanym się stało.
Gdzie lata beztraskie dzieciństwa
i młodości zostały,
Coś co szczęściem się zwało.

Jak można zapomnieć i wyrzucić z myśli
Coś co tak bliskim i pięknym było,
Że mimo upływu lat wielu,
Tak mocno i na zawsze w pamięci utkwilo!

Miasto naszego dzieciństwa,
I młodości wielu Polaków,
Jedyne Miasto na świecie!
Najdroższe dla wszystkich Lwowiaków!!

Bo tam i wiosna piękniejsza,
I lato w zieleni tonie,
I jesień bardziej złocista,
I zima w srebrzystym szronie.

I wszystko na co spojrzeć piękniejsze
Niż gdziekolwiek na świecie!
Wy – którzy nie doznaliście tej straty
Tęsknoty tej nie pojmiecie!

ZOFIA ŻÓŁKIEWICZ, ur. we Lwowie. Po emeryturze mieszka w Katowicach-Ochojcu. Do emerytury pracowała umysłowo w różnych instytucjach.

WIERSE

Zofia Żółkiewicz

Cóż mi zadałeś Lwowie ukochany

Lwowie ukochany, Miasto moje
niezapomniane!
Cóż mi zadałeś, że wciąż myślę o Tobie?
Tak wiele już lat od tamtych czasów minęło,
I życie ciągle upływa,
A pamięć o Lwowie nie błednie, zawsze
jest żywa!

Ścieżki dzieciństwa, drogi młodości już
dawno zatarte

Domy rodzinne zburzone,
A w oczach i w sercu wszystko jak dawniej
Takie wyraźne, nienaruszone!

I rwie się wciąż dusza do tych miejsc drogich,
Szczęściem i beztraską co krok
naznaczonych,
I do tych Osób radości dzielących,
W pamięci już tylko na zawsze utkwionych.

Polski od wieków Lwowie ukochany!
Miasto Królewskie!
Jakiż okrutny los przeżywać Ci jest danym.
Ci co tak bardzo Ciebie ukochali
Twoje lwowskie dzieci,
Od tylu lat żyją i tęsknią do Ciebie z dala,
Skazani na tułaczkę po świecie.

Bezsilnością miotani jak i Ty, Nasze Miasto!
Trudno pogodzić się z przeznaczeniem.
Tylko jedno nam pozostało,
Najdroższe o Tobie wspomnienie.

PROZA

Franciszek Jaworski

ZEGARY LWOWSKIE

*Poniższy tekst pochodzi ze znanej dobrze naszym Czytelnikom – bo wielokrotnie z niej korzystaliśmy – arcyciekawej książki Franciszka Jaworskiego *Lwów stary i wczorajszy*, wydanej we Lwowie w 1910 roku. Ściślej, jest to podrozdział w rozdziale „Zegarmistrze i zegary”. Książka F. Jaworskiego jest niewyczerpanym źródłem wiadomości o historii i kulturze polskiego Lwowa od średniowiecza po przełom XIX/XX wieku.*

Zegar ratuszowy. Pierwsza wzmianka o zegarze na lwowskiej wieży ratuszowej pochodzi z roku 1404, od tego też czasu księgi miejskie pilnie notują każdy wydatek na zegarmistrza, którego pieczy powierzony był ów główny miernik czasu lwowskiego. Miasto nie mogło się obyć bez zegara, więc pilnowało go jak oka w głowie, nie szczędząc pieniędzy i starań, a stąd historia lwowskiego zegara ratuszowego da się odtworzyć z całą dokładnością. Zebrane z aktów miejskich szczegóły ogłosiliśmy już w pracy o ratuszu lwowskim i tam też ciekawego czytelnika odsyłamy, podając tu tylko najważniejsze. W czasie przebudowy ratusza i wieży przy końcu XV wieku, za panowania Jana Olbrachta, zawieszono na niej w roku 1491 dzwon zegarowy wagi 11 cetnarów, odlany przez Macieja konwisarza, według formy sporządzonej przez puszkarza Walentego, za pomocą którego ręcznie wybijano godziny, dopóki wspomniany już poprzednio mnich Grzegorz nie zbudował nowego zegara, który też znalazł się na wieży w roku 1504. Zwyczajem średniowiecznym zegar musiał być jak najbardziej ozdobny i dlatego miasto ugodziło się z Janem malarzem, który za cztery czerwone złote podjął się zegar pomalować i odpowiednio, a całkowicie przyozdobić. Olbrzymia na owe czasy suma honorarium dowodzi, że i malowidło

musiało być odpowiednio bogate. Ponieważ zaś miasto nie całkiem dowierzało artyście, przeto porękę za pilne, sumienne i punktualne wykonanie roboty przyjął na siebie Jan Gielitowski, obywatel lwowski. Ten to zegar nazywa Zimorowicz w swojej kronice krótko zegarem automatycznym wybijającym godziny.

Po wielkim pożarze, który w roku 1527 obrócił w perzynę prawie cały Lwów, zegar na wieży ratuszowej, jakkolwiek mocno zdezelowany, ocalał. Okazała się jednak potrzeba gruntownej reparacji, tak samo jak i całego szczytu wieży. Tę ostatnią wykonał architekt i rzeźbiarz w jednej osobie, niejaki Łukasz, malowidła zaś na tarczy zegarowej i „palce indeksów” odnowił braciszek z zakonu Dominikanów Aleksy, za wynagrodzeniem 1 fl. 6 gr.

W dwadzieścia lat później znowu restaurowano zegar ratuszowy, dając mu nowe liny, nowe ciężary z kamienia, skrzydła płóciennie do mechanizmu itd. Stolarz Szymon zrobił nowe wskazówki oraz tarczę, na której obok cyfr godzinnych wyrysowany był także bieg słońca i księżyca, inne ozdoby w cenie 22 gr wykonał zegarmistrz wraz ze swoim pomocnikiem, a Augustyn malarz, syn Błażeja Porucznika z Kamieńca Podolskiego, otrzymał za malowidła i za posrebrzenie tarczy zegarowej 6 fl. 3 gr.

Nowy pożar w roku 1571 zniszczył doszczętnie z takim trudem i kosztem odnowione dzieło. Przywołany po pożarze z Przemyśla zegarmistrz Baltazar Słowik uznał, że stary zegar jest już kompletnie do niczego. Zdjęto go więc z wieży, osadzając na niej tymczasowo zegar z bramy halickiej, a mistrz Melchior Thyl ze Śląska zabrał się natychmiast do roboty nowego zegara za cenę 220 fl., przy czym wszystkie koszty materiału miało ponieść miasto. Robota trwała przeszło dwa lata, a po jej ukończeniu uznał, znowu z Przemyśla powołany Baltazar Słowik, że wypadła całkiem dobrze, tak że w roku 1574 zegar siedział już na wieży. Dodano jeszcze potem osobno dzwon do wybijania kwadransów za 37 fl., krzyż wielki żelazny, na którym osadzone były wskazówki, nowe ciężary, dwie liny 36 sążni długie, które specjalnie wynajęty chłopak wysmarował łożem i tłuszczem, a potem nastąpiła cała seria artystycznych wydatków: Pawłowi murarzowi za wykonanie tablic zegarowych

po wszystkich stronach wieży ratuszowej 30 fl., Wojciechowi malarzowi za wymalowanie tychże czterech tablic 34 fl., za miedź i pozłocenie indeksów 8 fl. itd. Temu to zegarowi poświęci Sebastian Klonowicz wiersze w swojej *Roksolanii*.

Z początkiem XVII wieku odnową ratusza i zegara zajął się bardzo gorliwie słynny rajca i burmistrz lwowski Marcin Kampian. Reparację tego ostatniego i przyozdobienie wykonał zegarmistrz Sebastian Szwaynowski, robota jego nie była jednak zbyt trwała, bo już w roku 1641 pracowali koło zegara malarze i murarze, ci ostatni restaurowali aniołki gipsowe, otaczające tarczę zegarową.

Odtąd wybijał zegar ratuszowy dla miasta same tylko nieszczęsne godziny lub milknął w czasie wielkich katastrof wojennych, które od poł. XVII wieku nieprzerwanie prawie nawiedzały Lwów.

Nowy mechanizm sprawiono w roku 1721, ten zaś ustąpił w roku 1788 miejsca zegarowi kupionemu przez miasto okazyjnie, z wieży kościoła Jezuitów po kasacie tegoż zakonu, który to zegar rozbił się razem z wieżą ratuszową w czasie jej zawalenia się w roku 1826.

Na nowo zbudowanej wieży osadzono zegar sprowadzony z Wiednia, a wykonany w warsztatach tamtejszego instytutu politechnicznego. Urządzenie i mechanizm wieży zegarowej wywołały podziw w ówczesnym lwowskim świecie naukowym. Uregulowaniem jego zajął się profesor Stampfer, a wyczerpujący artykuł w czasopiśmie „Mnemosyne” z roku 1837, pióra profesora matematyki Straszničkyego dawał profanom wyobrażenie o tym cudzie współczesnej mechaniki. Funkcjonował on jednak tylko lat jedenaście, to jest do bombardacji Lwowa przez Hammersteina w roku 1848, kiedy to spłonął razem ze szczytem wieży. Po jej odbudowaniu w roku 1851 osadzono na niej nowy zegar z fabryki Wilhelma Stiehle pod Wiedniem, który do dnia dzisiejszego pełni swoją służbę.

Zegar na Bramie Halickiej. W czasach dobrobytu i świetności utrzymywało miasto drugi jeszcze zegar wieżowy, umieszczony na wieży, unoszącej się nad Bramą Halicką. Brama ta cieszyła się zawsze specjalną opieką urzędu radzieckiego, który dbał o jej przyozdobienie, urządzenie, a zarazem praktyczne zastosowanie do po-

trzeb miejskich. Po wielkim pożarze, który w 1572 roku nawiedził Lwów, akta radzieckie z żalem się wyrażają o spłonięciu wieży nad bramą, bardzo kunsztownie i wielkim kosztem wzniesionej (*fabre et sumptuose elevata*). Największą zaś jej ozdobą był zegar wieżowy, osadzony na wieży w roku 1549, mniejszą zapewne więzienie miejskie, które się mieściło tuż pod zegarem, a najmniejszą chyba kramy i budy, tak w samej bramie jako też i za bramą w fosie miejskiej się znajdujące.

Zegar na bramie halickiej sporządzony został przez gwardiana Bernardynów, syna mieszczańki lwowskiej Stancel Hazowy. Tak przynajmniej sądzić trzeba ze wzmianki zawartej w tzw. „Kronice Alembekowskiej”, w Archiwum miejskim, gdzie zapisano, że urząd radziecki obdarzył wspomnianego gwardiana dwoma garncami małmazji za staranie i trud (*cura et opera*) około zegara na wieży halickiej. Równocześnie w tym roku (1549) wyciągnięto dzwon zegarowy na wieżę, zbudowano komorę na pomieszczenie zegara, a zegarmistrzowi miejskiemu, który odtąd miał obowiązek regulować i nakręcać oba zegary, podwyższono płacę do 12 gr na tydzień, a później nawet do gr 15.

W roku 1561 wspomniany już kilkakrotnie przedtem Baltazar Słowik, zegarmistrz z Przemyśla, który przyjął prawo miejskie we Lwowie, zrobił nowy zegar na wieżę halicką, ogólnym kosztem 70 złp.

Miasto wyznaczyło i urządziło mu warsztaty w bramie krakowskiej. Po dokonaniu dzieła wrócił Baltazar z powrotem do Przemyśla, a jego zegar przeniesiony został prowizorycznie na wieżę ratuszową, gdzie pozostawał aż do roku 1574, dopóki Melchior Thyl nie skończył budowy nowego zegara ratuszowego.

Większej restauracji, wraz z pewnym przyozdobieniem zegara na bramie halickiej dokonano w latach 1638 i 1639, kiedy to zegarmistrzowi wypłacono za naprawienie 40 złp., „kowałowi od koła indeksowego, które u niego zegarmistrz z czeladzią dwa dni robili 2 złp.” Stolarz sporządził tablicę: „na olej i farbowanie tejże tablicy i indeksów” wydano 1złp. 9 gr., po czym ją murarz wprawił na wieżę, a kowal przybił sześciu hakami i pół kopą gwoździ.

Z tym wszystkim jednakowoż „zegar halicki” rychło poszedł w zaniebanie. W roku

1644 kontrola gospodarki miejskiej (*decem-viri ad audiendas rationes*) prosi w „exorbitancji”, ażeby zegarmistrze miejscy „zygar na bramie halickiej rozebrali i naprawili, gdyż wzięli ad kationem 20 złp.”, komisarze zaś, którzy w roku 1666 dokonali rewizji baszt miejskich, nie mogli znaleźć nawet kluczy do komory zegarowej. Czytamy bowiem w sprawozdaniu o stanie wieży halickiej: „Dzwon tamże zegarowy z młotem, a do kół zegarowych o kluczu nie mogliśmy się dowiedzieć, tylko udawali, że lepak jeden ma mieć klucz, a nie wiedzieć który. Koła te widać, iż porzewiały, a śmiecia tam pełno”. To jest ostatnia wzmianka o zegarze na wieży bramy halickiej.

Zegar wieżowy u Jezuitów. Ulyk Verдум, który podróżował po Polsce w latach 1670–1672 wspomina, że Jezuici na kościele swoim posiadali zegar „niemiecki, jak go tu na miejscu zowią”, który tylko dwanaście godzin bije i wskazuje, podczas gdy wszystkie inne dzwony biją dwadzieścia cztery godziny. Wynika z tego, że Jezuici wprowadzili we Lwowie pierwszy dzisiejszą rachubę czasu. Podczas wielkiej restauracji kościoła w wieku XVIII wprowadzono wieżę wysoką, a na niej w roku 1756 osadzono zegar „z wielką wygodą dla miasta i studentów”. Po kasacie zakonu Jezuitów zegar, który pozostał na opuszczonym kościele, odkupiło miasto w roku 1788 i osadziło go na wieży ratuszowej. W roku 1830 zniesiono i wieżę kościoła Jezuitów, z obawy aby ją taki sam los nie spotkał, jak przed kilku laty wieżę ratuszową.

Zegar na kościele Karmelitów Trzewickowych. Karmelici Trzewickowi, którzy posiadali dawniej swój klasztor i kościół przy ulicy Halickiej, gdzie dziś sąd karny i gimnazjum Franciszka Józefa, otrzymali w połowie XVIII wieku zegar wieżowy, który im zafundowała Joanna z Bethumów Jabłonowska. Zegar ten wraz z wieżą i dzwonami spłonął w roku 1769 w czasie napadu konfederatów barskich na Lwów.

Zegar u Bernardynów powstał za przeoratu ks. Wenanteo Tyszkowskiego w roku 1753. W roku 1785, po wypędzeniu Bernardynów z ich siedziby, zegar niszczał razem z wieżą, która stanowiła mieszkanie dla pactwa i kryjówkę dla kilku braciszków zakonnych, którzy tam ukrywali się, czekając lepszych czasów dla swego zakonu.



Zegar na wieży bernardynskiej

W roku 1817 za powrotem Bernardynów został i zegar restaurowany, a po zawaleniu się wieży ratuszowej, był jedynym zegarem wieżowym we Lwowie. Wtedy to „stary i niedołężny” zegar restaurowano na nowo, przy czym powstała kwestia, kto ma utrzymywać zegar, gdyż konwent Bernardynów opierał się, twierdząc, że zegar służy miastu i miasto powinno opłacać zegarmistrza do niego. Według opowiadania zmarłego przed paru laty zegarmistrza śp. Józefa Weisa, był ów zegar bardzo starej konstrukcji, tak że przed laty około 25, gdy się okazała potrzeba zrestaurowania go, żaden z lwowskich zegarmistrzów nie chciał się podjąć tej roboty. Wysłano go więc do Pragi, skąd powrócił tak dobrze zregulowany, że przez długi czas szedł dokładnie, wyprzedzając zegar ratuszowy o pięć minut. Była to po części także zasługa pewnego starego braciszka od Bernardynów, który zegar ów formalnie pokochał do tego stopnia, że nawet strzępami własnego habitu zatykał dziury i szpary na wieży, aby najmniejszy nawet powiew wiatru nie zaszkodził.

Dwa inne istniejące dziś zegary wieżowe są zupełnie nowego pochodzenia. Zegar na kościele św. Anny ustawiono w roku 1862 w czasie restauracji tegoż kościoła, zegar zaś na kościele Marii Magdaleny przed 20 laty.

Zegary domowe. O stopniu wykształcenia sztuki zegarmistrzowskiej w starym Lwowie mogły dać wyobrażenie tylko jej zabytki, gdyby się były dochowały. Niestety, z wyjątkiem nielicznych okazów z końca XVIII wieku, nie mamy żadnych widomych śladów zegarmistrzostwa, z wyjątkiem luźnych wzmianek archiwalnych, zwłaszcza w inwentarzach spadkowych, opisujących co ciekawsze zegary w masie spadkowej pozostałe.

Zresztą obok zegarów mechanicznych przez długie lata były w powszechnym użytkowaniu klepsydry, zegary piaszczyste lub wodne. Jeszcze w XVII wieku inwentarze kramów kupieckich zawierają „zegarki ciekące”, zaliczane do towarów norwimberskich. W samym ratuszu godziny urzędowe dla podpisów liczyły się według klepsydry, oprócz zaś mniejszych był także „wielki piaszczysty zegar ratuszowy”, za którego poprawę wyliczono w roku 1590 jakiemuś Bernardynowi 20 gr.

Oprócz jednak i obok tych „zegarków ciekących” używano na ratuszu i zegarków mechanicznych już od połowy XVI wieku. W roku 1551 sprawiono z funduszów miejskich strunę do zegara ręcznego (*horologium manuale*), który w innym miejscu nazwany jest „zegarkiem spiżowym” (*horologium aeneum*).

Nie ulega wątpliwości, że zegary te robione były we Lwowie, tym bardziej że wielu zegarmistrzów, trzymawszy godność majstrów cechowych, ofiarowywało zegary zrobione przez siebie w dowód uzdolnienia (majstersztyki) na ratusz. Tak uczynił w roku 1580 zegarmistrz Szymon Sokołowski, któremu „za zygar nowy pozłocisty, z półzegarem i kwadrami, jako za sztukę przezeń zrobioną i panom do izby na ratusz oddaną” dano tytułem „kontentaciery” 15 złp. Widocznie był to zegar większej wartości, skoro natychmiast sprawiono mu „skrzynię od prochu”. W roku 1603 znowu we Lwowie, darował do izby radnej zegar, na którego pozłocenie dano mu cztery czerwone złote.

Trudniej już oznaczyć proveniencję zegarów, których opisy trafiają się tu i ówdzie po inwentarzach spadkowych. Co ciekawsze z nich wyliczył już Władysław Łoziński w „Patrycjacie”, np. zegar okrągły płaski, na którym siedem planet wyrytych wokół; zegarek w ośmiograniach, na których są główki

na kształt koników miedziane, posrebrzane; zegarek czworograniasty, podługowaty, na którym jest piesek, zegarek okrągły, gładki z czterema herbami, piąty herb z krzyżem i rybą; zegarek okrągły pozłocisty, na którym twarze bogiń pogańskich są wyrte; zegar mosiądzowy pozłocisty, wyrabiany w gryfy na nóżkach żelaznych z blachą; zegar okrągły, niewielki, na którego głowie są trzy głowy cesarzów, a na spodku osoba jakaś; zegar na kształt ołtarzyka w hebanie czarnym; zegar w żelaznej blasze, na której namalowane są *virtutes*; zegar, na którym żyd stojący, pozłocisty, na Talmudzie przez okulary czytający, w pantoflach itp. W ogóle zamiłowanie do zegarów w czasach świetności patrycjatu lwowskiego było znaczne. Po takim na przykład Janie Alembiku pozostało w spadku aż sześć zegarów, a między nimi jeden „na którym koń pozłocisty, a na nim chłop siedzi”. Bartłomiej Zimorowicz posiadał 5 zegarków różnych etc.

Nie wszystkie te zegary były zapewne we Lwowie wyrabiane, tym bardziej że i w okolicy kwitła sztuka zegarmistrzowska, a ustawiczne stosunki handlowe z Gdańskiem pozwalały na sprowadzanie tego rodzaju luksusowych wyrobów. Między innymi także była w Przemyśle kolonia zdolnych zegarmistrzów, z których jeden, wspomniany już Baltazar Słowik, pracował we Lwowie, a drugi, ojciec jego Paweł Słowik, wyjeżdżał aż do Warszawy dla zrobienia zegara na wieży tamtejszego ratusza; w Podhorcach pracował w połowie XVII wieku zegarmistrz Paweł Dobrostański, którego wyrobu zegarek, niepośledniej artystycznej wartości, posiada miejskie muzeum przemysłowe we Lwowie, Paweł zegarmistrz z Krosna osiadł w roku 1460 we Lwowie, toż samo w roku 1580 wspomniany już przedtem Grzegorz Grabiński, Błażej Kozarski z Kamieńca. Wyrabiano też zegary w Bieczu, Jarosławiu i innych miejscowościach.

Nie więcej też wiadomości o lwowskich wyrobach zegarmistrzowskich posiadamy w wieku XVIII.

Obok już wymienionych wyrobów Jana Kamińskiego, jego syna Antoniego, Stanisława Skarzyńskiego, Jana Hacula, z końca XVIII wieku trafiają się jeszcze tu i ówdzie we Lwowie zegary z firmą Ignacego i Jana Kocha, Stanisława Dąbrowskiego, Roberta i innych.

Danuta Nespiak

EPITAFIUM DLA TADEUSZA

Podole, medycyna,
exodus kresowych Madonn

Dębowica, Uwin i Łopatyn w powiecie radziechowskim na dawnych Kresach Wschodnich – miejscowości, z którymi związane jest moje wczesne dzieciństwo – to mój środek świata, moja ojczyzna wzruszenia... Przyjeżdżaliśmy tu na letnie wakacje do Dziadków Tomaszewskich, hasaliśmy po polach i łąkach... pozostało mi w pamięci ogromne rozlewisko Sydołówki, za którym rozciągał się już Wołyń. To pierwsze słowa w obszernej monografii Ziemia Radziechowska i ludzie stamtąd autorstwa Tadeusza Kukiza – lekarza, humanisty, historyka. W jego podolskim dzieciństwie był jeszcze historyczny Zborów, gdzie w komendanturze Polskiej Policji Państwowej pracował jego ojciec.

W tragicznym wrześniu 1939 roku Kukizowie opuścili Zborów szukając schronienia u dziadków Tomaszewskich w Dębowicy. Tam 10 kwietnia 1940 roku Tadeusz po raz ostatni widział ojca, który w czerwcu 1941 zamordowany został przez NKWD w lwowskim więzieniu Brygidki.

13 kwietnia Anna z Tomaszewskich Kukizowa i jej dzieci – 8-letni Tadeusz i 12-letnia Janina via Radziechów, Łuck, a dalej Czelabińsk, Omsk, Pawłodar, po przeprawie przez rzekę Irtysz i podróży wielbłądem, dotarli na pusty step w pn.-wsch. Kazachstanie. Przeżyli – cudem Tadeusz, bo przechorował tyfus brzuszny i płamisty, w 1946 roku wrócili do kraju, szczęśliwie w trójkę osiedlając się w Jasionowie koło Prudnika u dziadków Tomaszewskich.

W Prudniku Tadeusz ukończył liceum ogólnokształcące i po maturze rozpoczął studia medyczne.

W 1957 roku po egzaminie dyplomowym w Akademii Medycznej w Warszawie prof. Jan Kostrzewski zaproponował mu asystenturę. Był to uśmiech losu, bo asystentura to początek drogi naukowej. Zaczęły się prace doświadczalne, Tadeusz publikował wyniki,



ale dla młodego lekarza atrakcyjne było też życie kulturalne stolicy – wystawy plastyczne, teatr, opera, operetka. Na co dzień gnębił go bardzo brak mieszkania. Mimo że był stypendystą Ministerstwa Zdrowia, sprawa mieszkania była dalej beznadziejna, a był już zaręczony z Marylką Nowakowską – warszawianką, której włoski typ urody i sopran koloraturowy zapadły mu w sercu, gdy okłaskiwał ją w *Zemście* nietoperza Straussa.

Nie chcieli dłużej czekać, zrezygnowali z Warszawy, w kościele w Prudniku odbył się ich ślub.

W 1968 roku już po stażach klinicznych i specjalizacji objął ordynaturę w szpitalu powiatowym w Niemodlinie i kierował tam przez 30 lat oddziałem internistycznym. Realizował swoje życie zawodowe bardzo godnie, ale nie byłby sobą, gdyby to była tylko medycyna. Interesował się przecież malarstwem, grafiką, bibliofilstwem, dziedzictwem kulturalnym Kresów, prezesował przez 2 kadencje oddziałowi Towarzystwa Przyjaciół Książki w Opolu. W połowie lat 70. ubiegłego wieku rozpoczął kwerendę materiałów do dziejów Łopatyna, miasteczka na Podolu, gdzie w latach 1934–1937 mieszkali jego rodzice. Od szkolnych lat ciekawiło go też pochodzenie rodowego nazwiska i później, w miarę upływu czasu szukał materiałów do genealogii Kukizów. Poszukiwania te

zostały w 2010 roku zwieńczone wydaniem 2 książek – *Kukizów. Miasteczko koło Lwowa i Kukizowcy i Kukizowie. Poszukiwanie rodowego gniazda*. Oprócz monografii Łopatyn. *Dzieje i zabytki* i wspomnianej wyżej *Ziemi Radziechowskiej...* wydał *Uhnów, kresowe miasteczko nad Sołokiją*, z którym była związana rodzina jego ojca.

Zapytałam go kiedyś w Ossolineum, gdy grzebaliśmy się w katalogach, jak godził pracę zawodową ze swoją pasją historyczną, która kierowała go do Lubaczowa, gdzie są przechowywane księgi metrykalne i akta parafialne archidiecezji lwowskiej, do Archiwów Państwowych w Krakowie, Przemysłu, Lublinie, Warszawie, do prowadzenia ogromnej korespondencji, do szukania tych, którzy coś na kresowy temat wiedzieli. Powiedział mi wtedy, że do bliżej położonych miejscowości jeździł w dni wolne od pracy, do odległych podczas urlopu, ale od 1997 roku (emerytura) poczuł się prawie komfortowo, bo miał czas dla swoich Madonn i miasteczek. Informacje znajdował w różnych lokalnych wydawnictwach, podczas wygłaszanych przez niego radiowych prelekcji lub w sposób nieoczekiwany.

Tak było, gdy zwiedzał Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. O jednym z obrazów znanego lwowskiego malarza S. Batowskiego z kościoła św. Walentego w Kałuszu (dziś w Gryfinie k. Szczecina) dowiedział się od pracownika Instytutu.

W serii *Madonny* przedstawiał nie tylko wojenne i powojenne losy obrazów, świątyń i ich fundatorów, ale ich dzisiejsze „geograficzne” usytuowania. Te obrazy, które zdobią kościoły znajdujące się w miasteczkach i wsiach Dolnego Śląska, wskazują skąd przybyli osiedlający się tam ekspatriowani Polacy z Kresów.

Tadeuszowi w pracy od początku towarzyszyła żona. Marylka okazała się talentem dającym sobie doskonale radę z korektą i drukarką. W serii *Madonny* w książkach jest dedykacja „Mojej Żonie poświęcam”.

Wśród otrzymanych odznaczeń kresowych (lekarzkie też ma) myślę, że najbardziej cenił medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis. Tadeusz – wyciszony, kameralny, skromny – nie pojedzie już do Wójcic koło Nysy, gdzie w kościele znajduje się jego Łopatynska Madonna. To zadanie dla nas, którzyśmy jeszcze zostali.

POLSKA NAUKA I NASZE ŚRODOWISKO PONIOSŁY STRATĘ

Do niekończącej się ostatnio liczby odejść dołączył wybitny uczony **Profesor ZDZISŁAW ŻYGULSKI jr (1921–2015)**, nestor polskich historyków sztuki, bronioznawca i muzeolog. Człowiek rozległej wiedzy, a zarazem niezwyklej pracowitości. Był wieloletnim profesorem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, przez ponad 60 lat kustoszem Muzeum Książąt Czartoryskich. Był autorem fundamentalnych 33 książek oraz esejów o sztuce świata, głównie w zakresie broni i barwy, historii ubioru, muzealnictwa, wnętrza, sztuki orientalnej.

Profesor Zdzisław Żygulski jr był synem lwowskiego profesora Uniwersytetu Jana Kazimierza tegoż imienia, seniora. Urodził się w Boryslawiu.

Profesor zmarł 14 maja. Pogrzeb na cmentarzu Salwatorskim w Krakowie zgromadził ogromną rzeszę żegnających Go.

* * *

Profesor Zdzisław jr bywał gościem na spotkaniach Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW w Krakowie, wygłaszając prelekcje, zawsze oczekiwane.

W następnym numerze spodziewamy się opublikować wywiad, jakiego o swoim życiu Profesor udzielił pismu „Arttak”. Zwróciliśmy się do Redakcji tego pisma z prośbą o wyrażenie zgody.



MARIA DAYCZAK-DOMANASIEWICZ 1930–2015

Pani Maria Dayczak-Domanasiewicz, urodzona we Lwowie 5 grudnia 1930, zmarła w Krakowie 26 marca 2015. Była z wykształcenia historykiem sztuki i konserwatorem. Zainteresowania sztuką wyniosła z rodzinnego domu: była córką Wawrzyńca Dayczaka, cenionego lwowskiego architekta, projektanta wielu kościołów. Do liceum uczęszczała w Jarosławiu, tam bowiem państwo Dayczakowie osiedli po wojnie. Następnie przeniosła się do Krakowa, gdzie studiowała najpierw historię sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim, uzyskując stopień magistra w r. 1955, następnie konserwację dzieł sztuki na Akademii Sztuk Pięknych, broniąc w 1960 r. pracę dyplomową z zakresu konserwacji nowożytnego malarstwa ściennego.

W życiu zawodowym Pani Maria łączyła dwie wspomniane wyżej pokrewne dyscypliny. W polu jej zainteresowań naukowych znalazł się polski renesans, przede wszystkim architektura mieszczańska i malarstwo ścienne w budowlach świeckich. Zasłużyła się też odkryciem pozostałości szesnastowiecznej willi biskupa krakowskiego Samuela Maciejowskiego w Prądniku. Do tematu tego wróciła dwa lata temu, gdy przygotowała referat poświęcony tej świetnej ongiś renesansowej rezydencji. Został on zaprezentowany we Włoszech na konferencji naukowej dotyczącej kultury i sztuki dworów renesansowych Italii i Polski (materiały w druku). Zajmowała się również dziejami akademickiej dyscypliny konserwacji dzieł sztuki i dokonaniem założyciela tutejszego Wydziału Konserwacji – prof. Józefa Dutkiewicza. Jej staraniem opublikowany został album pt. *Dzieło sztuki w konserwacji* (1976). Włączyła się też w dyskusję na temat modelowej formy powiązanych z konserwacją badań i opracowań z historii sztuki. Opracowała i wydała materiały dotyczące projektów i realizacji architektonicznych swego ojca (materiały po nim przekazała Polskiej Akademii Umiejętności).

Jako artysta-konserwator zasłużyła się odnawiając, wraz z mężem Andrzejem Domanasiewiczem, dekoracje malarskie kościoła św. Krzyża w Krakowie, konserwatorsko nader trudne pod każdym względem.

Powstawały one w końcu XV i w XVI stuleciu, jako dzieła wielu mistrzów, a po wiekach były restaurowane (m.in. w końcu w. XIX według projektów Stanisława Wyspiańskiego). Zajmowała się renesansowymi stropami w kamienicach krakowskich. Wzięła udział w konserwacji malowideł w farze olkuskiej, we wnętrzu kawiarni Jama Michalikowa i Stare Mury. Konserwowała liczne obrazy ze zbiorów prywatnych.

W krakowskich Pracowniach Konserwacji Zabytków prowadziła od 1963 r. pracownię dokumentacji naukowo-historycznej, spożytkowując wiedzę z zakresu obu uprawianych przez siebie dyscyplin. Od r. 1972 zatrudniona była na krakowskiej ASP, gdzie prowadziła wykłady z historii sztuki polskiej – jej poprzednikami na tym stanowisku byli Lech Kalinowski, Piotr Krakowski i Juliusz Ross. Dzięki staraniom Pani Marii program nauki uzupełniony został o wstęp do historii sztuki, wyprofilowany pod kątem potrzeb przyszłych konserwatorów. Przez blisko dwie dekady przyczyniała się Ona do kształtowania wielu roczników krakowskich konserwatorów.

Przed blisko ćwierćwieczem Maria Dayczak-Domanasiewicz przeszła na emeryturę i przekazała prowadzone przez siebie przedmioty piszącemu te słowa. Przyjęła mnie wówczas z życzliwością i uprzejmością, ofiarowując pomoc i cenne rady. Swych kontaktów z uczelnią nigdy nie zaniechała, podobnie jak relacji ze stowarzyszeniami zawodowymi konserwatorów i historyków sztuki. Od ponad pięćdziesięciu lat należała do Stowarzyszenia Historyków Sztuki, biorąc udział w jego działalności naukowej oraz towarzyskiej. Była też członkiem Sekcji Konserwatorskiej Związku Polskich Artystów Plastyków, kilkakrotnie wybranym do zarządu Oddziału Krakowskiego. Słusznie napisano przed trzydziestu laty, iż *żadna większa akcja społeczna, zwłaszcza* ▶



► *przy odnowie Krakowa, nie odbywa się bez niej.* Dotyczy to również Jej udziału w obrocie Sekcji Konserwatorskiej ZPAP w czasie stanu wojennego.

Pani Maria była człowiekiem dobrym i mądrym. Wielu z nas wspomina Jej wyjątkową kulturę osobistą, skromność, dyskretną elegancję, Jej bezinteresowną uczynność oraz cichy, matowy głos i uśmiech, stale

goszczący na twarzy. Tego uśmiechu i przyjaznego ciepła, jakimi emanowała, zabrakło wraz z Jej odejściem, jednak z pewnością przetrwają one w pamięci bliskich, przyjaciół, kolegów, uczniów i znajomych, wszystkich, którzy się z Nią zetknęli.

Paweł Pencakowski
Kraków, 6 kwietnia 2015

Z ostatniej chwili

Ze smutkiem donosimy, że w ostatnich tygodniach zmarli w Krakowie kolejni znani Lwowianie, członkowie TMLiKPW:

15 VII dr **Maria Taszycka**, historyk sztuki, kustosz krakowskiego Muzeum Narodowego, członek redakcji „Cracovia–Leopolis”. Spoczęła na Cmentarzu Salwatorskim w Krakowie. W następnym numerze zamieścimy szersze wspomnienie o Zmarłej.

17 VII mgr inż. arch. **Aleksander Nikodemowicz**, pracownik naukowy Politechniki Krakowskiej. Spoczął na Cmentarzu Podgórskim w Krakowie.

W Krakowie zmarł w wieku 97 lat ks. **Tadeusz Ślipko**, jezuita, ceniony etyk i filozof. Był wykładowcą na Wydziale Filozofii Tow. Jezusowego oraz Uniwersytecie Jana Pawła II.

Ks. T. Ślipko urodził się w Stratynie, w pow. rohatyńskim (woj. stanisławowskie).

Przy okazji przypominamy, że Stratyn (a nie *Stratyń*, jak napisano) był do II wojny własnością hr. Krasickich, wcześniej hr. Bielskich. Najmłodszy Krasicki był wnukiem Juliusza i Eleonory Bielskich, właścicieli pałacu we Lwowie przy ul. Kopernika 42 (gdzie dzisiejszy Polski Teatr Ludowy). Po wojnie znaleźli się na Zachodzie. Zob. Słownik geogr.-hist. w CL 3/07.

Lwowska dziennikarka i pamiętnikarka

15 czerwca w Polskiej Akademii Umiejętności odbyło się posiedzenie w ramach Wydziału II Historyczno-Filozoficznego PAU, podczas którego dr Karolina Grodziska – dyrektor Biblioteki PAU i PAN – przedstawiła referat zatytułowany „Michalina Grekowicz-Hausnerowa. Lwowska dziennikarka i pamiętnikarka”.

Urodziła się 4 lipca 1891 r. w Buczaczu. Była córką pułkownika Józefa Grekowicza, dowódcy w Powstaniu Styczniowym 1863 r., i Kamili z Wasylewskich. We Lwowie ukończyła seminarium nauczycielskie i do wybuchu I wojny światowej pracowała

jako nauczycielka. Od roku 1917 oddała się dziennikarstwu i publicystyce (publikowała m.in. w „Gazecie Porannej” i „Gazecie Wieczornej”), uwiodło ją też nowe medium, jakie pojawiło się we Lwowie – radio, z którym przez lata współpracowała. W roku 1921 wyszła za mąż za inż. Franciszka Hausnera. W czasie II wojny światowej żyła w trudnych warunkach, ciężko pracując fizycznie. Po wojnie, jako ekspatriantka, w 1946 roku zamieszkała w Szczecinie, gdzie próbowała wrócić do zawodu dziennikarskiego, ale pracowała także w tamtejszym wydziale kultury i szczecińskiej księgarni. W 1954 roku, po śmierci męża i siostry, przybyła do Krakowa. Mieszkała tam jej najbliższa kuzynka, Aniela

dokończenie na s. 57

*Nielatwo pogodzić się z tym,
czyż niekiedy obarcza nas życie.
Pozostaje mieć nadzieję i wiarę
w sens tych doświadczeń.*

LUCYNA KUBICKA

1940–2015

W oddaleniu dowiedzieliśmy się o nagłym odejściu 16 kwietnia tego roku Lucyny Kubickiej – inicjatorki, współzałożycielki i wieloletniej Prezes Towarzystwa Kultury Polskiej „Przyjaźń” w Stanisławowie. Jej przedwczesna śmierć pogrążyła stanisławowskie środowisko w Krakowie w głębokim smutku i żalu.

Nie zdążyliśmy Jej powiedzieć wielu serdecznych i przyjaznych słów uznania – na które w pełni zasłużyła – za wytrwałość w utwierdzaniu polskości na Ziemi Stanisławowskiej i nieznużoną opiekę nad Cmentarzem w Czarnym Lesie – miejscu kaźni polskiej elity Stanisławowa w sierpniu 1941 roku.

Od samego zarania los Jej nie oszczędzał. Już w łonie matki przeżyła zesłanie do Kazachstanu, gdzie przyszła na świat 13 czerwca 1940 roku. Po uwolnieniu, wraz z matką wróciła do przedwojennego domu rodziców w Ottyni. Tam ukończyła szkołę powszechną i zdała maturę w szkole 10-letniej. W Stanisławowie ukończyła studia w Instytucie Historycznym i rozpoczęła pracę nauczycielki w szkole (w jęz. rosyjskim) w Ottyni. Po śmierci matki zamieszkała w Stanisławowie, gdzie została dyrektorem kursów kwalifikacyjnych dla pracowników kultury.

W 1989 roku powstało w Stanisławowie Towarzystwo Kultury Polskiej im. F. Karpińskiego. Z niego wyłoniło się w 1993 roku Towarzystwo Kultury Polskiej „Przyjaźń”, na którego czele stanęła Lucyna Kubicka i przez 22 lata nieprzerwanie, aż do śmierci, pełniła tę funkcję.

Koło Stanisławowian w Krakowie blisko współpracuje z TKP „Przyjaźń”. Szczególnie

łączy nas troska związana z Cmentarzem w Czarnym Lesie, który został utworzony z inicjatywy krakowskiego Koła Stanisławowian, dzięki ofiarnej pracy TKP „Przyjaźń”, bezinteresownej pomocy Energopolu i finansom Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Lucyna Kubicka była animatorką życia kulturalnego TKP „Przyjaźń” i nieustraszoną organizatorką i uczestniczką prac w ramach opieki nad Cmentarzem w Czarnym Lesie.

W 2011 roku, w 70 rocznicę tragicznego mordu, głównie dzięki staraniom TKP „Przyjaźń” – a zwłaszcza Lucyny Kubickiej – powstał nowy pomnik z inskrypcją w języku polskim i ukraińskim: „Pamięci przedstawicieli polskiej inteligencji

Stanisławowa i okolic pomordowanych przez hitlerowców w sierpniu 1941 roku”.

Za tę ogromną pracę, zaangażowanie w budowę nowego pomnika, pokonanie trudności finansowych i formalno-prawnych, by Cmentarzowi nadać prawny status cmentarza ofiar wojny, została odznaczona przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa – Złotym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej.

Osobiście chciałabym wyrazić wdzięczność Lucynce za niezawodną pomoc w organizowaniu (prawie corocznie) przez nasze Koło wyjazdów do Stanisławowa i okolic.

Nie mając możliwości uczestniczenia w pogrzebie śp. Lucyny Kubickiej (18 kwietnia w Ottyni), myślami towarzyszyliśmy w Jej ostatniej ziemskiej drodze, wspominając wszelkie dobro, które dla nas uczyniła.

Pozostanie w naszej wdzięcznej pamięci jako skromny i dobry Człowiek. Niezawodna w przyjaźni, życzliwa, o szczerym sercu, trwająca heroicznie w służbie wartościom kultury i niegasnącej inicjatywie odradzania i umacniania polskości na Ziemi Stanisławowskiej.

Krystyna Stafińska
Prezes Koła Stanisławowian w Krakowie



KULTURA NAUKA

MATKA BOŻA RUDECKA

W przyszłym, 2016 roku minie 95 lat od koronacji w Rudkach koło Sambora łaskami słynącego obrazu Matki Boskiej Rudeckiej, który po II wojnie – wywieziony dla bezpieczeństwa do Przemyśla – został ofiarowany decyzją ks. bpa Tokarczuka do kościoła parafialnego w Jasieniu w Bieszczadach. Przekazanie obrazu do nowego miejsca odbyło się w r. 1968 z udziałem ówczesnego ks. kardynała Karola Wojtyły i kilku biskupów – z Tarnowa, Przemyśla i in.

Powstało w ten sposób nowe sanktuarium Matki Bożej Rudeckiej – w Bieszczadach. Obraz Madonny, namalowany temperą na desce, pochodzi z 1. połowy XVI wieku.



REMBRANDT LANCKOROŃSKICH



Rembrandt, „Dziewczyna w ramie obrazu”

Na odbudowanym Zamku Warszawskim (na parterze, poza Apartamentami Królewskimi i Salami Sejmowymi) znalazła się m.in. Galeria Lanckorońskich, złożona z dzieł sztuki, ofiarowanych Zamkowi w 1994 r. przez Karolinę Lanckorońską. Uważa się, że był to najcenniejszy dar w historii naszego muzealnictwa.

Kolekcja Lanckorońskich przechowywana przez prawie 200 lat w Wiedniu (z którym ta rodzina była związana poprzez swoje relacje z dworem cesarskim), a po II wojnie – z woli ostatnich z rodu, głównie Pani Karoliny – znalazły się w Polsce. Rozważane były różne miejsca lokalizacji zbiorów – gdyby Lwów pozostał w granicach RP, na pewno tam by się znalazły, ponieważ krajowe rezydencje Lanckorońskich znajdowały się w Małopolsce Wschodniej (Rozdół, Komarno), a Karolina Lanckorońska mieszkała we Lwowie, gdzie była profesorem na Uniwersytecie Jana Kazimierza. To gwoli przypomnienia.

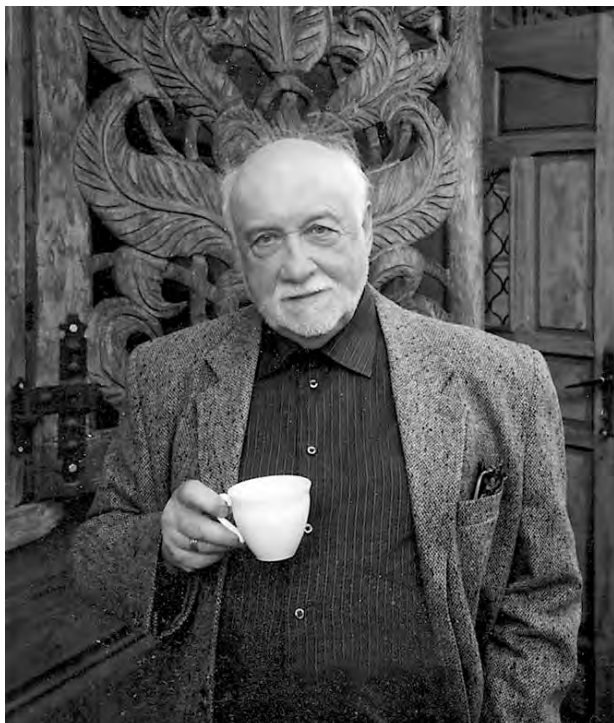
Kolekcję, o której mowa, zainicjowali Rzewuscy – ród osiadły w Małopolsce Wschodniej (związany m.in. z lwowskimi Cetnerami). Droga sukcesji przeszła na Lanckorońskich, którzy zbiory nieustannie wzbogacali. Znalazły się tam m.in. dwa bezcenne płótna Rembrandta z dawnej galerii króla Stanisława Augusta.

Osiemdziesiątce Zbigniewa Chrzanowskiego

Dyrektor Polskiego Teatru we Lwowie, Zbigniew Chrzanowski, ukończył 80 lat. Z teatrem w ogóle jest związany od najmłodszych lat, nawet urodził się w budynku teatralnym (jego ojciec pracował w teatrze Skarbowski). Poznawał więc od dziecka wszystko, co było związane ze sceną i aktorskim graniem, a wnikał w to coraz bardziej w szkole (nr 24), gdzie jego profesorem był niezapomniany Piotr Hausvater. Ten wciągnął go do teatru i po latach uczynił swoim następcą jako głównego reżysera polskiej sceny we Lwowie.

Jest nim Zbigniew Chrzanowski przez 50 lat do dziś. Za sobą ma niezliczoną liczbę przedstawień autorów dawnych i współczesnych oraz zespół aktorski coraz bardziej profesjonalny, a zarazem zaangażowany emocjonalnie.

We Lwowie 7 czerwca odbyła się uroczystość jubileuszowa na cześć Pana Zbigniewa. Przybyło na nią wiele gości lwowskich i z RP. A uroczystość uświetniła retrospektywa najciekawszych, najbardziej udanych spektakli z tego półwiecza. Na koniec były kwiaty, gratulacyjne przemówienia, odznaczenia i życzenia, do których się dołączamy.



CRACOVIA LEOPOLIS

Szanowny Pan
Zbigniew Chrzanowski
Dyrektor Teatru Polskiego we Lwowie

Z okazji pięknego jubileuszu, 80. urodzin, w imieniu redakcji kwartalnika „Cracovia-Leopolis” życzymy Panu wszystkiego co najlepsze! Przede wszystkim dużo zdrowia i kolejnych wspaniałych scenicznych pomysłów realizatorów.

Od lat z podziwem obserwujemy Pańskie zmagania się z Melpomeną, liczne sukcesy, poświęcenie i piękno realizowanych przedstawień promujących polską kulturę, poezję i sztukę dramatyczną. Wielokrotnie ze wzruszeniem

oklaskiwaliśmy spektakle kierowanego przez Pana Polskiego Teatru – w Krakowie, ale i na deskach scenicznych Lwowa. Jesteśmy pełni podziwu, że przez tyle lat, na różnych zakrętach dziejowych, polska sztuka zawsze obecna była we Lwowie. To zasługa całego zespołu teatralnego – kolejnych już pokoleń Polaków mieszkających we Lwowie, ale nade wszystko to Pańska osobowość, osobisty czar i urok, przyciągający do teatru nowych artystów i niepozwalający odejść tym starszym – zarażonym bakcylem sceny! Dziękujemy Panu za to w tym pięknym i uroczystym dniu! Wielkie dzięki! Życzymy kolejnych wspaniałych i owocnych lat zarówno na scenie, jak i w życiu osobistym!

Ad multos annos, Mistrzu!

*W imieniu całej Redakcji
Andrzej Chłupski*

Kronika



■ W Galerii Pryzmat ZPAP Okręg Krakowski (ul. Łobzowska 3) otwarto 22 czerwca 2015 r. wystawę zatytułowaną „Adam Macedoński do kwadratu. Rysunki z lat 1955–2015”. Kuratorem i aranżerem wystawy jest Andrzej Dawidowicz. Kiedyś napisałbym, że nie ma człowieka w Polsce, który nie zna Adama Macedońskiego, był on bowiem stałym rysownikiem krakowskiego tygodnika „Przekrój”, a kto nie czytał tego pisma i nie zwracał uwagi na charakterystyczne humorystyczne kwadratowe ludziki?! Dzisiaj nie ma „Przekroju”, a Adam Macedoński – lwowianin z pochodzenia – artysta plastyk, działacz niepodległościowy, założyciel Instytutu Katyńskiego, Honorowy Obywatel Stołeczno-Królewskiego Miasta Krakowa, nadal jest znaną i ważną postacią w Polsce.

Wystawie towarzyszy piękny katalog z prezentowanymi na ekspozycji rysunkami, które oglądający wystawę mogą kontemplować także w zaciszu domowej biblioteki. Podczas wernisażu o Adamie Macedońskim opowiadali krakowianin Michał Koziół, Andrzej Dawidowicz oraz lwowianin Stefan Berdak. Adamowi Macedońskiemu gratulujemy pięknej wystawy, a Państwa zapraszamy do odwiedzenia Galerii Pryzmat w Krakowie.



■ 20 czerwca w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie, urodzony we Lwowie Adam Zagajewski, poeta i eseista, obchodził 70. urodziny. W uroczystym spotkaniu uczestniczyli przyjaciele poety:

Anders Bodegård, Janusz Drzewucki, Edward Hirsch, Sebastian Kleinschmidt, Ryszard Krynicki, Jerzy Kronhold, Michael Krüger, Ewa Lipska, Leszek Aleksander Moczulski, Tomasz Różycki, C.J. Williams oraz gość specjalny Adam Michnik. Zaprezentowany został także film poświęcony

Adamowi Zagajewskiemu autorstwa Joanny Helander i Bo Perssona. Na zakończenie uroczystego spotkania do zebranych przemówił Adam Zagajewski. W pamięci utkwiły mi słowa: *Teraz przeczytam wiersz, którego nigdy w Krakowie nie czytałem*. Tu nastąpiła pauza i padł tytuł wiersza poświęconego przez autora rodzicom: *Jechać do Lwowa...* Organizatorem spotkania było Wydawnictwo a5. Z inicjatywy tegoż wydawnictwa ukazała się poświęcona Adamowi Zagajewskiemu książka *i cień i światło... O twórczości Adama Zagajewskiego* pod redakcją Anny Czabanowskiej-Wróbel (w wersji polskiej i angielskiej), w której znalazły się teksty autorów z całego świata. Do życzeń płynących do Adama Zagajewskiego z całego świata dołącza się redakcja kwartalnika „Cracovia–Leopolis”.



W Krakowie i dalej

Sokół Macierz Lwów uratowany!

W numerze 3/2014 naszego kwartalnika prezes „Sokoła-Macierzy” Lwów Andrzej Pawłowski zamieścił ważny i ciekawy artykuł historyczny zatytułowany „SOKÓŁ-MACIERZ LWÓW z siedzibą w Krakowie – Zbliżamy się do ćwierćwiecza”. Nic jednak nie wróżyło, że druh Andrzej traktuje ów artykuł jako swego rodzaju pożegnanie z prezesurą, co mogło być równoznaczne z zaprzestaniem działalności tego gniazda.

Uprosiłszy przeto druha Andrzeja Pawłowskiego o jednoznaczne zajęcie stanowiska w tej dramatycznej sprawie. Oto Jego wypowiedź i informacja.

W dniach 20 marca i 10 kwietnia br. miało miejsce Walne Zgromadzenie Wyborcze członków Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół-Macierz” Lwów. Zebrania te – zgodnie ze statutem – odbywają się co trzy lata i dotychczas nie warte były informowania o nich szerzej. To ostatnie miało jednak dramatyczny przebieg, bowiem dotychczasowy prezes, druh Andrzej Pawłowski poinformował zebranych, że nie będzie już kandydować na stanowisko prezesa Stowarzyszenia.

Ponieważ wg Statutu Sokoła Macierzy prezes jest wybierany przez Walne Zgromadzenie, a nikt ze zgromadzonych członków nie wyraził zgody na objęcie stanowiska prezesa, powstała więc sytuacja patowa grożąca rozwiązaniem Stowarzyszenia. Wszyscy zebrani byli zgodni, że istnienie „Sokoła-Macierzy” Lwów jako symbolu Polskiego Sokolstwa jest konieczne ze względów historycznych i patriotycznych.

Barierą dla dalszego istnienia „Sokoła-Macierzy”, jak już wspomniano, był brak kandydata na stanowisko prezesa. I tu zbawienny był wniosek zgłoszony przez prezesa krakowskiego „Sokoła” druha Konrada Firleja, który przewodniczył obradom Walnego Zgromadzenia – aby przerwać obrady Zgroma-

dzenia, wznowić je 10 kwietnia i w przerwie znaleźć kandydata na stanowisko prezesa.

Wniosek druha Firleja przybrał realne kształty, albowiem funkcję prezesa „Sokoła-Macierzy” Lwów podjął się pełnić **druh Mariusz Graniczka**, dyrektor I Gimnazjum w Krakowie. Walne Zgromadzenie jednogłośnie wybrało druha Mariusza na stanowisko Prezesa „Sokoła-Macierzy” Lwów. Druh Mariusz Graniczka jest znanym pasjonatem Kresów Wschodnich, krzewicielem ich dziejów i – co najważniejsze – tą działalnością obejmuje młodzież.

Na członków Zarządu wybrano:

- druhnę Teresę Konopkę – jako wiceprezesa Zarządu,
- druhnę Zdzisławę Stopczyńską – jako sekretarza,
- Edwarda Adlesa – jako skarbnika,
- Tadeusza Mossoczego – jako członka Zarządu.

Wybrani członkowie Zarządu pełnili te funkcje dotychczasowo. Walne Zgromadzenie wybrało również członków Komisji Rewizyjnej i Sądu Honorowego. Zaleciło też kontynuowanie wydawania kalendarzyka sokolskiego.

Co jest konieczne dla trwania i zdynamizowania działalności „Sokoła-Macierzy” Lwów – mariaż zapału nowego Prezesa z doświadczeniem i wiedzą o działalności Macierzy, jej dokonaniach, jak i niepowodzeniach dotychczasowych członków zarządu. A także z wykorzystaniem przez Prezesa – jako dyrektora gimnazjum – możliwości powiększenia liczby młodych członków Macierzy, „zarażeniem” ich ideologią Sokoła, tak by następne Walne Zgromadzenie Wyborcze mogło wybrać młodych działaczy na członków władz Towarzystwa i dokonać pokoleniowej zmiany warty w „Sokole-Macierzy” Lwów.

Andrzej Pawłowski



druh Andrzej Pawłowski



druh Mariusz Graniczka

Helena Niwińska kończy 100 lat

Pa co ja jeszcze żyję?

To retoryczne pytanie słyszymy czasem od naszej wyjątkowej przyjaciółki pani Heleny, rocznik 1915! W jej pytaniu nie ma nuty gorczy, płynącej z samotności, ani cienia kokieterii, jest za to głęboka zaduma i szczere zdziwienie.

Doczekanie setnych urodzin to piękny dar i wielkie wyzwanie dla tych, którzy mienią się bliskimi solenizanta. Wszystkie prezenty – kwiaty choćby najpiękniejsze, wykwintne czekoladki i tysiące innych rzeczy – stają się zbyt banalne. Jest jednak coś, co może być źródłem radości: obietnica zachowania, przekazania, pielęgnowania PAMIĘCI o utraconym Lwowie, o piekle Birkenau, o złu, które nie miało ostatniego słowa, i o dobru, które zwyciężało mimo wszystko.

Pani Helena przyszła na świat podczas pierwszej wojny światowej. Zanim jej rodzice mogli powrócić do siebie, czyli do Lwowa, miasto doświadczone zostało walkami z Ukraińcami i bolszewikami. W polskim Lwowie upłynęło jej dzieciństwo i wczesna młodość. Wymagający ojciec wysoko ustawiał poprzeczkę córce i jej starszym braciom. Oprócz studiów wszyscy odebrali staranne wykształcenie muzyczne, jej ojciec gdy żartował, mówił o „skrzypcowym trio Duniczów”.

Dobre wykształcenie swych dzieci postrzegał jako obowiązek wobec i dla odrodzonej ojczyzny. Kolejna wojna tragicznie doświadczyła tę lwowską rodzinę.

Drobna w postaci, delikatna i cicha w sposobie bycia pani Helena lubi stawiać pytania. Swoje wspomnienia, zatytułowane *Drogi mojego życia. Wspomnienia skrzypaczek z Birkenau*, które w 2013 roku zostały wydane przez Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu*, także zaczęła pytaniem: „Dlaczego dopiero teraz, mając 95 lat, zabrałam się do pisania wspomnień?”. Odpowiedź tkwi w Jej skromności i przeświadczeniu wyrażonym w zdaniu: „byłam takim małym trybikiem”. Jednak na tym „małym trybiku” wyrte zostały tragiczne losy Polaków doświadczonych okupacją sowiecką i niemiecką, poddanych terrorowi i upodleniu, którzy ocaliwszy życie stali się WYGNAŃCAMI, TUŁACZAMI tęskniącymi za „krajem lat dziecińczych”.

Najważniejszą więzią, która pozwoliła pani Helenie odbudować powojenne życie bez Lwowa i bez rodziny, były przyjaźnie z dziewczynami z kobiecej kapeli z Birkenau i odnajdywanymi po wojnie lwowianami. Swoje zawodowe życie związała z Polskim Wydawnictwem Muzycznym w Krakowie. Jego wieloletniego dyrektora Tadeusza Ochlewskiego wspomina z największym szacunkiem jako człowieka oddanego muzyce, kulturze polskiej i otaczającego wsparciem WYGNAŃCÓW-TUŁACZY z utraconych po wojnie ZIEM WSCHODNICH.

Spotkania u pani Heleny to także wspomnianie wspólnych wyjazdów do Lwowa. Oprawdzała nas po nim swoimi ścieżkami, przystając pod budynkiem gimnazjum Kró-



► lowej Jadwigi, do którego chodziła, zaglądając do auli na UJK, w której brat Janek miał obronę doktoratu. W 2010 roku zostało udostępnione zwiędzającym więzieniu przy Łąckiego i mogliśmy z Nią zobaczyć ponure korytarze i odrażające cele, w których spędziła dziewięć miesięcy. Wyrwana z domu wraz z mamą 19 stycznia 1943 roku nigdy już do niego nie wróciła. Bezpowrotnie przepadł Lwów z rodzinnym gniazdem przy Placu Mariackim. Ojciec Józef Dunicz zmarł jeszcze w czasie okupacji sowieckiej, wycieńczona mama Maria zmarła w obozie Auschwitz-Birkenau, brat Janek – doktor muzykologii, także nie doczekał wolności, po morderczym marszu śmierci z Gross Rosen skończył w obozie Mittelbau-Dora. Drugi z braci, Bolesław, rozpoczęty na UJK doktorat z chemii dokończył w Ameryce, gdzie wiódł życie emigranta, nie widząc dla siebie miejsca w Polsce bez Lwowa i pod rządami komunistów.

Teraz dom pani Heleny – małe mieszkanie w Krakowie – jest oczywiście pełne Lwowa na fotografiach, obrazach, wśród książek, w jej oczach, sercu i duszy, w tęsknocie i marzeniu.

Dla nas Ona jest Lwowem:

**... jeśli miasto padnie a ocalaje jeden
on będzie niósł miasto w sobie po drogach
wyrzucenia
on będzie Miasto***



Helena Niwińska z przyjaciółką Marią Szewczyk

Dlatego żyjesz, kochana Heleno, dzięki Bogu, że żyjesz. Pożyj jeszcze z nami, bo dobrze nam razem.

Takie właśnie życzenia składamy pani Helenie Niwińskiej z domu Dunicz – lwowiance urodzonej w Wiedniu, ocalonej z Auschwitz, mieszkającej w Krakowie.

Przyjaciele i krewni oraz redakcja
i Czytelnicy „Cracovia-Leopolis”

* Zbigniew Herbert, Raport z oblężonego miasta

Lwowska dziennikarka i pamiętnikarka dokończenie ze s. 50

Wasylewska, siostra znanego pisarza lwowskiego Stanisława Wasylewskiego. Warto wspomnieć, że to właśnie on pomagał Michalinie Grekowicz w początkach kariery dziennikarskiej. Poza tym z Krakowa było bliżej do Lwowa, do którego już prawdopodobnie nigdy nie udało jej się dotrzeć. W Krakowie pracowała w Miejskiej Bibliotece Publicznej. Współpracowała też ze środowiskiem dziennikarskim. W 1967 r. w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” obchodziła jubileusz 50-lecia

pracy dziennikarskiej. Współpracowała też z redakcją *Polskiego słownika biograficznego*, w którym opublikowała sześć biogramów znanych Lwowian. Nade wszystko jednak pisała pamiętnik zatytułowany *Czasy lwowskie*. Zmarła 22 października 1967 roku, pochowana została na nowym Cmentarzu Podgórskim. Grób Michaliny Grekowicz-Hausnerowej znajduje się obecnie w opłakanym stanie. Jej wspomnienia ukazały się nakładem PAU. Pani dr Karolina Grodziska będzie wdzięczna za wszelkie informacje na temat Michaliny Grekowicz-Hausnerowej, jej życia i pracy twórczej.

Książki czasopisma

Nowe książki

W nowym, V tomie **Kresowej Atlantydy** profesor **Stanisław S. Nicieja** omawia siedem miejscowości leżących we Wschodniej Małopolsce, w jej środkowej i południowej części, a zarazem zgrupowanych w 2 województwach (dla nas zawsze „po staremu!”). W woj. lwowskim leżą powiatowy Sambor oraz Rudki z Fredrowską Beńkową Wisznią. W woj. stanisławowskim na pierwszym planie powiatowa Nadwórna oraz Bitków, Delatyn i Rafajłowa. Bogactwo treści opisywanych miejscowości – jak we wszystkich tomach prof. Niciei – jest przeogromne, tak od strony geografii, zagospodarowania i historii, jak i społecznej, aż po życiorysy niezliczonych mieszkańców, głównie z pierwszego czterdziestolecia XX wieku, sięgając jednak wstecz – po średniowiecze, oraz w przód – po czasy dzisiejsze.

Pierwszym, najważniejszym przykładem jest średniowieczny Sambor, o bogatej historii. Z tego miasta wywodzili się dwaj prezydenci Krakowa: Józef Dietl i Mikołaj Zyplikiewicz, a spod Sambora bracia Wale-ry i Władysław Łozińscy, wspaniali pisarze, autorzy książek czytanych przez wiele pokoleń. A dalej: Artur Sandauer i – Jan Cajmer, twórca słynnej orkiestry tanecznej. Kolejny pisarz to Andrzej Kuśniewicz, rzeźbiarka Maria Jarema i twórca polskiego kodeksu karnego Juliusz Makarewicz. A dalej dziesiątki innych osób i rodzin, których oczywiście znać już nie możemy.

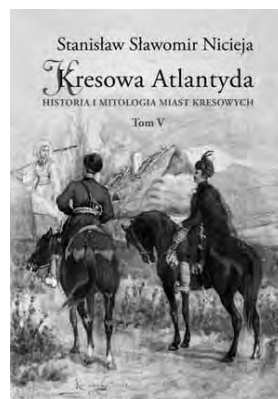
Następne miejscowości to Rudki i Beńkowa Wisznia. Ta druga to rezydencja hrabiów Fredrów, gdzie mieszkał i pisał (jeśli nie we Lwowie na Chorążczyźnie) nasz wielki komediopisarz Aleksander. Ale stolicą majątności było miasteczko Rudki z kościołem, w którym Aleksander został pochowany. Pamiętamy z lat powojennych dramat, gdy odkryto profanację jego nagrobka przez sowieckich okupantów.

Przenosząc się na południe – na Pokucie – trafiamy do stolicy powiatu, miasta Nadwórnej – autor nazywa ją bramą Gorganów, a samo miasteczko powstało w cieniu potężnego zamku w Pniowie – od XVI w. w rękach możnych rodów Kuropatwów i Cetnerów. W naszych czasach Nadwórna i jej bliskie okolice zasłynęły wieloma niezwykle atrakcyjnymi. Cechą tamtych stron są rozległe lasy, ponadto odkryto bogate złoża ropy naftowej w Pasiecznej, Bitkowie i okolicy. Jedne i drugie były eksploatowane w oparciu o linię kolejową ze Stanisławowa przez Kołomyję, Delatyn po Worochtę. Równocześnie rozwinął się tam masowy ruch turystyczny w górzystych stronach Gorganów i Czarnohory.

Poza lasami i ropą naftową opisuje prof. Nicieja archeologiczną sensację, jaka miała miejsce między Nadworną a Bohorodczanami – w Staruni. W 1907 r. w oleistej ziemi na głębokości kilku metrów znaleziono doskonale zachowane korpusy dwóch zwierząt: mamuta i nosorożca, których miękkie narządy zakonserwowały się w ropie i solance. Unikalne znaleziska wzbogaciły muzea we Lwowie i Krakowie, wchodząc zarazem do nauki światowej.

Opisane atrakcje Nadwórnej i Bitkowa – naftowego zaplecza Nadwórnej, a potem również Delatyna, robią miejsce szerokiej galerii rodzin i postaci, związanych z tymi miejscowościami. Przy Delatynie wymieniam prof. Nicieja m.in. nazwisko prof. Gębarowicza, który stamtąd się wywodził.

Ale czy to wszystko o Nadworną i Delatynie? Tu muszę zwrócić uwagę Profesora na bardzo rozrozoną rodzinę związaną z Nadworną. Józef Czerny był dyrektorem tamtejszych lasów (poza nim nagrobek w kształcie kamiennego krzyża na nadwórniańskim cmentarzu), a kiedy omawia się tamtejsze rodziny, trudno pominąć 6 córek Czernego, które dały początek rozgałęzionym, znanym w czasach międzywojennych rodzinom. Byli to Noworytowie, Gałazewscy, Pompejnowie, Hauserowie, Chłipalscy i Szyszkowscy. Z tych rodzin poszły kolejne



liczne nazwiska starostów, wicewojewody, dyrektora lasów Galicji, właścicieli lasów i pensjonatów, architektów, rzeźbiarki, profesora Politechniki i inżynierów różnych dyscyplin, a także znakomitego narciarza, który zginął w lawinie pod Howerlą.

Wypada wymienić jeszcze jedno znane nazwisko związane z Delatynem. Był to w XIX w. nadleśniczy Pautsch, który miał syna świetnego malarza Fryderyka. Ten działał we Lwowie, we Wrocławiu (jeszcze niemieckim), a w końcu zaproponowano mu profesurę na krakowskiej ASP. Tu zbudował sobie stylową willę na Łobzowie, jednak dziś jest ona na skraju ruiny. (AC)

📖 Pan mecenas, dr nauk prawnych **Tomasz J. Kotliński** jest dobrze znany naszym Czytelnikom, ponieważ już wielokrotnie przysyłał nam artykuły do publikacji w kwartalniku „Cracovia–Leopolis”, związane tematycznie z sądownictwem – ściślej z adwokaturą, której jest przedstawicielem. Dr T. Kotliński jest pracownikiem naukowym Państwowej Szkoły Techniczno-Ekonomicznej w Jarosławiu, ponadto jest autorem kilkudziesięciu prac naukowych.

Całkiem ostatnio otrzymaliśmy najnowszą książkę T. Kotlińskiego: **Galicyjskie mowy obrończe** (wyd. Okręgowa Rada Adwokacka w Krakowie, 2014), zawierająca jedenaście wybranych przez Autora ciekawych mów adwokackich z lat 1880–1913, wygłoszonych na różnych – nie mniej interesujących – rozprawach sądowych. Tu musimy wyjaśnić, że z owych 11 mów – 3 dotyczą procesów toczących się we Lwowie, 2 w Przemyślu, pozostałe 6 w Krakowie*.

Prezentowane mowy obrończe poprzedza *Wprowadzenie*, w którym autor książki omawia tło spraw, procesów i rozpraw, a które stały się podstawami owych wystąpień adwokackich. Obok realiów interesują go sylwetki adwokatów, ich doświadczenie, zdolność wypowiadania się i odpowiedzialność.

Przedmowę do pracy mec. Kotlińskiego napisał mec. Adam Redzik, od którego również otrzymaliśmy swego czasu ciekawe artykuły.

Z powodów całkiem pozamerytorycznych zwróciliśmy uwagę na opisany proces nazwany *kukizowskim*, który toczył się we Lwowie w 1889 roku, a przytoczono z niego dwie mowy obrończe z obu zainteresowanych stron. Proces ten stał się podobno jednym z najgłośniejszych, jakie były prowadzone w Galicji.

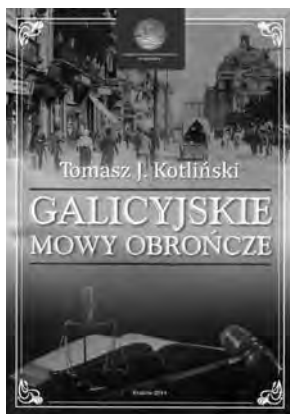
O co chodziło? Zdarzenie, które proces wywołało, miało miejsce w Kukizowie – ok. 22 km od Lwowa – majątku rodziny S. Proboszczem był tam ks. T., który uchodził za dziwaka i skąpca. Był oszczędny, zebrał spory majątek – także ze spadków – i stale się obawiał, że zostanie okradziony. Rzeczywiście stało się tak parokrotnie, skutkiem czego zrezygnował on w końcu z probostwa, ale pozostał w Kukizowie przy zaprzyjaźnionej rodzinie S., otrzymując skromne locum.

I właśnie tam nastąpiło wydarzenie, którego skutkiem było skomplikowane i długotrwałe dochodzenie: pewnej nocy miał miejsce napad, w którym wykradziono księdzu gotówkę i papiery wartościowe, część spalono, a on sam został dotkliwie poraniony. Sprawa została podjęta przez prokuraturę, komisję sądową i lekarzy. Jako sprawców podejrzewano członków rodziny S., były jednak mocne argumenty przeciw. W sprawę zaangażowało się wielu znanych prawników, dla których to wydarzenie stało się etapem w drodze do kariery zawodowej.

Autor nie opisuje do końca procesu, interesują go przede wszystkim oba przemówienia obrończe i zawarta w nich argumentacja prawnicza. (AC)

* Dziś dokumenty spraw lwowskich są zapewne trudniej osiągalne niż krakowskich, a nie oznacza to wcale, by we Lwowie toczyło się wtedy mniej ciekawych i ważnych spraw sądowych.

📖 **Sławomir Koper** wydał w Wydawnictwie Bellona (Warszawa 2011–2014) książkę: **Ukraina – przewodnik historyczny – tragiczne dzieje – polskie ślady**. Ciekawa książka, od której trudno się oderwać, składa się z 10 rozdziałów, których tytuły i śródtytuły są rozszerzeniem tytułu głównego:



1. *Najbardziej polskie z miast*
2. *Sześć wieków wspólnej historii*
3. *Śladami bohaterów „Ogniem i mieczem”*
4. *W kręgu Brunona Schulza*
5. *Szlakami Wołynia*
6. *Apokalipsa na Wołyniu*
7. *Podole*
8. *Mickiewicz, Eisenstein i Machulski (Odesa)*
9. *Kijów i okolice*
10. *Sonetów krymskie*

Autor w swojej pracy wykorzystał wiadomości z około dwustu pozycji książkowych, opracowań naukowych i artykułów prasowych. Na końcu przytacza tę źródłową bibliografię. W poszczególnych rozdziałach znajdujemy bardzo ciekawe charakterystyki miast i miasteczek kresowych, sylwetki wybitnych ludzi mieszkających na tych terenach, opisy zabytków architektury i pamiątek narodowych, przeważnie zdewastowanych i ograbionych. Książka zawiera opisy wojen i bitew, które przez wieki prawie nieustannie toczyły się na terenach kresowych. Z książki poznajemy losy magnackich rodzin, takich jak: Radziwiłłowie, Wiśniowieccy, Potoccy, Mniszchowie, Sapiehowie, a także pasjonującą historię życia wielkiego artysty, jakim był Brunon Schulz. Okropne są opisy mordów ukraińskich nacjonalistów popełnianych na polskiej ludności na Wołyniu. Szczególnie cenne są wiadomości o odwecie ze strony oddziałów Armii Krajowej w obronie ludności polskiej.

Należy również wspomnieć o opisie Krymu i pobycie Adama Mickiewicza w Odessie. Wiedza zaczerpnięta przez autora z publikacji podanych w bibliografii została wzbogacona jego własnymi obserwacjami i doświad-

ceniami z podróży po Kresach RP. Dzięki temu lektura omawianego przewodnika może być przydatna każdemu, kto wybierze się w dłuższą podróż krajoznawczo-histeryczną na teren dzisiejszego państwa ukraińskiego i kto będzie szukał śladów polskości i ludzkich losów.

Książka liczy wraz z fotografiami 442 strony. (DTS)

Profesor dr hab. Klementyna Żurowska jest nestorką krakowskiej szkoły historii sztuki. Jej zainteresowania badawcze skupiają się na problematyce polskiej architektury przedromańskiej i romańskiej, czyli budowli z początków państwa polskiego. W historii architektury polskiej zapisała się jako badaczka i autorka fundamentalnych prac o rotundzie Panny Marii (Świętych Feliksa i Adaukta) na Wawelu, o romańskim kościele w Tyńcu, o kaplicy chrzcielnej i palatium na Ostrowie Lednickim, gdzie odkryła baseny chrzcielne datowane na trzecią ćwierć X wieku. Jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, wychowawcą wielu roczników historyków sztuki, członkiem korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności.

Prof. Klementyna Żurowska urodziła się w 1924 roku w Perespie (powiat sokalski), w majątku swoich dziadków. Dzieciństwo spędziła w Leszczkowie, który należał do jej rodziców, Karoliny z Kraińskich i Romana Żurowskiego. W grudniu 1942 roku wraz z rodzicami i dwiema siostrami została aresztowana w Warszawie i osadzona na Pawiaku. Następnie wraz z matką i siostrami wysłana do obozu na Majdanku, gdzie zmarła jedna z jej siostr. Później została przewieziona do Ravensbrück. Po wyzwoleniu zdała maturę w Szkole ss. Niepokalanek w Szymanowie i podjęła studia historii sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1952 roku uzyskała magisterium z historii sztuki na podstawie pracy napisanej pod kierunkiem profesora Wojsława Molego i rozpoczęła pracę w Państwowych Zbiorach Sztuki na Wawelu. Następnie, po trzyletnim pobycie za granicą i studiach w Poitiers we Francji, podjęła pracę w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W roku 1964 doktoryzowała się na podstawie dysertacji *Rotunda Panny Marii na Wawelu*, a w roku 1971 uzyskała habilitację, której podstawą była rozprawa *Romański kościół benedyktynów w Tyńcu*.



W latach 1961–1965 brała udział w pracach wykopaliskowo-architektonicznych w opactwie benedyktynów w Tyńcu, a w latach 1987–1991 kierowała pracami badawczymi na Ostrowie Lednickim, zwieńczonymi doniosłymi odkryciami. Wyniki badań na Ostrowie Lednickim zostały opublikowane w tomie *U progu chrześcijaństwa w Polsce. Ostrów Lednicki*, t. 1–2, Kraków 1993.

Mimo zaawansowanego wieku profesor Żurowska jest nadal aktywna naukowo.

Książka **Profesor Klementyny Żurowskiej *Z Leszczkowa w świat*** jest tomem wspomnień i należy do gatunku „książek mówionych”, gdyż została w całości nagrana na dyktafon. Jest to nie tylko autobiografia, ale również saga rodzinna. Książka ta spełnia także kryteria epopei, ukazując losy pewnej generacji na tle dramatycznych wypadków dziejowych. Dzieje Profesor Żurowskiej i jej rodziny to przykład losów całej rzeszy Polaków.

Swoistym symbolem tych losów jest pled, który wykorzystano w projekcie okładki. Został on wyprodukowany w fabryce założonej w Leszczkowie przez ojca Profesor Żurowskiej, Romana Żurowskiego, według projektu jej matki Karoliny z Kraińskich Żurowskiej. Profesor Żurowska znalazła go w szpitalu obozowym w Ravensbrück, gdzie leżał rozłożony na podłodze. Z tym pledem pieszo wróciła do Polski i przechowuje go do dziś.

Wspomnienia Profesor Żurowskiej to równocześnie publikacja z historii polskiej historii sztuki, odsłaniająca szczegóły doniosłych odkryć naukowych. Dla historyków sztuki to także wzór kształtowania warsztatu naukowego poprzez podróż, dzieła sztuki, lektury.

Andrzej Włodarek

Taki smutny zbieg okoliczności: właśnie wtedy, gdy przygotowaliśmy niniejszy numer CL z artykułem A. Włodarka o znakomitej historyczce sztuki, mediewistce, profesorze UJ – Klementynie Żurowskiej, nadeszła wiadomość o Jej śmierci. Stało się to 8 maja 2015 r.

Pani Klima – tak ją nazywano w rodzinie i wśród przyjaciół – miała 91 lat. Mieliśmy nadzie-

ję, że któregoś wtorkowego wieczoru spotkamy się „Pod Gruszką” na Jej prelekcji wspomnieniowej. Nie zdążyliśmy. Jej odejście to wielka strata dla nauki polskiej, to wielka szkoda dla naszego wschodniomałopolskiego środowiska.

Na marginesie: Podobnie stało się nieco wcześniej ze śp. Marią Dayczak-Domanasiewicz (w tym numerze pisze wspomnienie o niej prof. Paweł Pencakowski).

📖 We Wrocławiu w 2014 r. ukazała się książka pt. ***Z Podola w świat Krystyny Kołodziejczyk*** z domu Kurzej. Są to szkice do historii rodziny Kurzejów, opracowane na podstawie pamiętnika Kazimierza Kurzeja przez córkę Krystynę, wzbogacone przez jej siostrę Irenę Pytel oraz tzw. przyszywaną siostrę Wandę Sułkowską-Mysliwiec. Krystyna po znalezieniu pamiętnika ojca uznała, że opisane w nim zdarzenia wraz z tłem historycznym nie mogą ulec zapomnieniu*.

Ojciec autorki Kazimierz Kurzej urodził się w 1895 r. w Płoskirowie jako najstarszy syn w wielodzietnej rodzinie. Dzieciństwo spędził na Podolu w kilku miejscowościach, gdzie jego ojciec był dzierżawcą i zarządcą majątków ziemskich. W pamiętniku znajdują się szczegółowe opisy prac gospodarskich, przyrody, dziecięcych zabaw oraz polowań. Kazimierz najpierw uczęszczał do wiejskich szkół o niskim poziomie nauczania, a potem do średniej szkoły w Płoskirowie i Kamieńcu Podolskim, w którym zdał maturę w 1915 roku. Zapisał się na Politechnikę Warszawską. W związku z działaniami I wojny światowej po oddaniu Warszawy Niemcom rząd carski wszystkie wyższe uczelnie ewakuował w głąb Rosji. Politechnikę Warszawską przeniesiono do Moskwy. Przyjemne wspomnienia młodego studenta z Moskwy dotyczą zaledwie roku. Wiosną 1916 wydany został carski dekret poboru studentów do wojska rosyjskiego. Kazimierza wysłano na szkolenie na Syberię do Irkucka. Podróż z postojami trwała 2 tygodnie i była całkiem miła. Zachwycił się przyrodą, klimatem, jeziorem Bajkał i rzeką Angarą. Po ukończeniu szkoły oficerskiej dostał przydział do pułku w Tiumeniu. W 1917 następuje wyjazd na



front. Nastroje w wojsku coraz bardziej niebezpieczne, rewolucyjne – wiece, pochody. Pociąg zatrzymał się na stacji Smyga pod Krzemieńcem i tu podjął Kazimierz decyzję o usunięciu się z wojska przez fikcyjne leczenie w szpitalu. Nawiązał kontakt z rodziną. Dowiedział się o zamordowaniu ojca po stronie rosyjskiej.

Wstąpił do Wojska Polskiego. Brał udział w walkach, w czasie których został ranny. Rodzina przedostała się do Polski – poprzez Lwów do Krzemieńca. Kazimierz Kurzej jako osadnik wojskowy zakłada gospodarstwo w Podhajcach koło Krzemieńca. Następuje stabilizacja życiowa, ale tylko do 1939 roku. Gospodarstwo jest zasobne, wzorcowe, ze specjalnością hodowli ryb. Dzieci uczą się w Krzemieńcu i we Lwowie. Dom jest gościnny. Kwitnie życie towarzyskie.

Po 17 września 1939 rodzina przenosi się pośpiesznie z Podhajec do Krzemieńca, a potem na stronę niemiecką, do Krakowa. Dzięki temu uniknęła represji ze strony sowieckiej.

W czasie II wojny i po niej Kazimierz Kurzej pracował w kilku miejscowościach, wykorzystywał swoje doświadczenie w zakresie hodowli ryb. Zmarł w Warszawie w 1966 roku.

W książce znajdują się dodatkowe rozdziały autorstwa Ireny Pytlowej, Krystyny Kołodziejczyk i Wandy Myśliwiec, które uzupełniają obraz życia w okresie międzywojennym oraz dziejów rodziny.

Ilustracją do tego jest około 140 fotografii rodzinnych.

(DTS)

* Pracami redakcyjnymi i wydawniczymi zajął się Zdzisław Nosowski z Warszawy.

📖 W 2013 roku w Warszawie, nakładem członków Koła Krzemieńczan w Towarzystwie Przyjaciół Warszawy oraz krzemieńczan rozsianych w różnych częściach Polski, ukazała się książka-album pt. **My Krzemieńczanie** jako zbiór krzemienieckich wspomnień pod redakcją **Wiesława Nosowskiego**.

Jest to wybór artykułów drukowanych wcześniej w „Życiu Krzemienieckim”*. Redaktor dokonał wyboru 22 tekstów drukowanych w latach 2006–2011 i podzielił je na trzy grupy: 1. dotyczące Liceum Krzemienieckiego („Liceum” – 5 tekstów); 2. dotyczące ludzi związanych w różny sposób

z Krzemieńcem („Ludzie” – 10 tekstów); 3. dotyczące życia w Krzemieńcu i jego wołyńskim otoczeniu („Miasto nad Wołyniu” – 7 tekstów).

Wymienione teksty są osobistymi wspomnieniami autorów, którzy żyli na tamtej ziemi, pracowali tam, uczyli się, uczestniczyli lub animowali życie społeczne, albo też są narracjami z drugiej ręki na podstawie opowiadań przodków i nagrań dźwiękowych. Wszystkie teksty są przyczynkami do historii miasta i regionu, z powołaniem się na unikalne dokumenty i zdjęcia z rodzinnych archiwów – głównie przedwojennych, ale też współczesnych.

We wstępie do książki red. W. Nosowski poinformował, że sam nie jest krzemieńczaninem, ale od 1997 roku po poznaniu środowiska stał się jego sympatykiem. I dalej napisał: *Przez cały ten okres obserwowałem, że ludzie do niego [środowiska] należący z dumą eksponują swoje związki z tym miastem. Robią to nawet potomkowie krzemieńczan, którzy mimo odejścia co najmniej jednego pokolenia czują się z Krzemieńcem i Wołyniem emocjonalnie związani.*

Tytuł publikacji *My Krzemieńczanie* wskazuje na to, że treść dotyczy przede wszystkim ludzi pochodzących z Krzemieńca, ich najrozmaitszych losów i dróg życiowych, ale mających wspólny pierwiastek wyniesiony z Wołynia i Liceum Krzemienieckiego.

Na końcu wydawnictwa – jako dowód mrówczej pracy redaktora – znajduje się indeks osób zawierający ponad 800 pozycji oraz indeks miejscowości i nazw geograficznych z ok. 500 pozycjami.

Osobisty stosunek niżej podpisanej do publikacji wynika z tego, że ponad połowę autorów znałam lub znam, a wiele relacji o opisanych wydarzeniach znałam z przekazów rodzinnych.

Danuta Trylska-Siekańska



* „Życie Krzemienieckie” wychodzi od 1991 co pół roku w Poznaniu jako organ Polskiego Towarzystwa Miłośników Krzemieńca i Ziemi Krzemienieckiej im. Juliusza Słowackiego i jest współczesną kontynuacją miesięcznika społecznego pod tym samym tytułem, który wychodził w Krzemieńcu w latach 1931–1939.

Wertując wydawnictwa

➤ W „Kurierze Galicyjskim” nr 17/2014 zwróciły naszą uwagę dwie pozycje. Pierwsza to **Cmentarz Janowski w centrum uwagi** – autor K. Szymański omawia wszczęcie prac nad ratowaniem resztek polskich na tej drugiej co do wielkości i ważności nekropolii lwowskiej. Prace nad odnowieniem kwatery Obrońców Lwowa są już zaawansowane i obecnie pozostaje wielka ilość istniejących jeszcze grobów, których dewastacja jednak następuje w ogromnym tempie. Przypominamy, że na Cmentarzu Janowskim spoczywa sporo zasłużonych osób od XIX wieku (z czasów zaboru austriackiego, z lat między wojnami i powojennych), atoli w większości spoczęła tu lwowska biedota.

Cmentarzem Janowskim – ściślej opracowaniem dokumentacji historycznej jako podstawy do podjęcia prac ratunkowych, podobnie jak na Łyczakowie, podjęła się grupa z Uniwersytetu Szczecińskiego. Pozyskano grant z Ministerstwa Nauki i SW i obecnie trwa opracowywanie dokumentacji fotograficznej oraz penetracja zachowanych materiałów archiwalnych. Prace te mają być zakończone w r. 2017 i wtedy mogłyby rozpocząć się szerokie działania konserwatorskie, które zmierzałyby do uratowania tej części dziedzictwa narodowego.

Druga szczególna pozycja to artykuł K. Czawagi **Dziedzictwo Kościoła lwowskiego**. Mowa o świątyniach rzymskokatolickich we Lwowie i poza nim niezwrócone prawowitym właścicielom od czasu objęcia tamtej Ziemi przez państwo ukraińskie. W samym Lwowie za okupacji sowieckiej pozostały czynne dwa kościoły: Katedra i kościół św. Antoniego, i od tamtej pory, mimo obietnic, nic się nie zmieniło. Chodzi głównie o takie, jak kościół seminaryjny MB Gromnicznej (oddany unitom), św. Marii Magdaleny – nadal sala koncertowa, kościół parafialny w Komarnie (mimo iż prawie nie używany, bo istnieją 2 cerkwie), a także rezydencja biskupów lwowskich w Obroszynie.

W tej sprawie – z okazji 600-lecia objęcia Lwowa przez bł. Jakuba Strzemię – odbyła się we Lwowie międzynarodowa konferencja, na której wystąpili – poza abp. M. Mo-

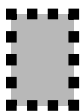
krzyckim – goście z RP (w tym ks. prof. J. Marecki z UPJPII w Krakowie, a także prof. W. Osadczy z Centrum Ucrainicum KUL i inni).

Powyższy problem wskazuje niestety na rzeczywiste stosunki między dwiema stronami katolickimi – greko- i rzymskokatolicką, nie inne niż między państwem ukraińskim a RP, i to w czasie, gdy Polska stara się popierać Ukrainę w jej aktualnych zmaganiach z imperialem rosyjskim. Dobrym przykładem jest również fakt opisany w tym samym numerze „Kuriera”: Oto w Szepetówce rok szkolny zaczął się od zakazania dzieciom polskim nauki w ich ojczystym języku. Nie przyjęto również dwóch nowych nauczycieli z Polski. Na kilkakrotne wystąpienia do władz prezeski miejscowego Związku Polaków uzyskano tyle, że dotychczasowa nauka ma być utrzymana do końca bieżącego roku szkolnego. A co potem?

Kościół MB Gromnicznej w Lwowie



LISTY DO REDAKCJI



List z Krakowa, od p. Aleksandra Chmielewa, syna Pani Prezes Federacji OP Emilii Chmielewej:

Szanowni Państwo! Drodzy Przyjaciele! Z upoważnienia Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie pragnę złożyć wyrazy głębokiego współczucia z powodu odejścia do Pana Romany Machowskiej.

Pani Roma całe swe życie poświęciła pomaganiu ludziom, a w szczególności Polakom, którzy pozostali w swych rodzinnych stronach, niestety po wojnie oddzielonych od macierzy granicą. Jako wieloletnia członkini Towarzystwa Miłośników Lwowa w Krakowie była inicjatorką i organizatorką wielu przedsięwzięć, m.in. pomocy materialnej w postaci pieniędzy, leków oraz produktów spożywczych ludziom samotnym, chorym i cierpiącym. Wiele lat propagowała i rozprowadzała czasopismo „Cracovia–Leopolis”.

Ja osobiście zaznałem serdecznej opieki ze strony Państwa Zdzisława i Romany Machowskich w początkowym okresie mego становienia się w Ojczyźnie, za co byłem im bardzo wdzięczny i tego nie zapomnę nigdy.

Postać Pani Romy Machowskiej zostanie na zawsze we wdzięcznej pamięci setek Polaków za wschodnią granicą.

Modlitwa za spokój duszy z pewnością pomoże Pani Romie odnaleźć się w Niebie.

Dziękujemy Pani Emilii, dziękujemy Panu Olkowi!

Pisze Pan Prof. dr Marcin Fabiański, wicedyrektor Zamku Wawelskiego, ale razem wnuk Tadeusza Fabiańskiego, autora wspomnienia „Sylwetki Falowców”.

Szanowny Panie Redaktorze, serdecznie dziękuję za egzemplarz „Cracovia–Leopolis”, którym sprawił mi Pan wielką przyjemność. Nie tylko ze względu na mojego Dziadzia, ale także dlatego, że większość osób tam wymienionych pamiętam nieźle z Jego opowiadań, a niektóre, jak Stanisława Wasiuczyńskiego, poznałem osobiście. Gratuluję świetnie zredagowanego i spójnego tematycznie numeru kwartalnika i życzę wielu następnych. Proszę przyjąć najlepsze życzenia Wielkiej Nocy.

I my Panu Profesorowi pięknie dziękujemy.

List ze Szczecina od Drogiego Pana Profesora dr. Remigiusza Węgrzynowicza, naszego wieloletniego Autora, Czytelnika i Przyjaciela:

Szanowny Panie Redaktorze, zgodnie z tradycją i obyczajem Świąt Wielkanocnych proszę przyjąć najserdeczniejsze życzenia wielu lat w zdrowiu, pogody ducha, dalszych sukcesów w kierowaniu przez Pana wydawnictwem „Cracovia–Leopolis”, którego rola w kształtowaniu świadomości społecznej jest wysoko oceniana, szczególnie w obliczu aktualnej sytuacji międzynarodowej.

Proszę również o przekazanie Szanownemu Zespołowi Redacji CL najserdeczniejszych życzeń – dalszych sukcesów w tej wysoce użytecznej społecznie działalności. Z serdecznością „kresową” i wyrazami szacunku.

Reklama prasowa z lat międzywojennych

OGRZEWAJCIE GAZEM OGRZEWAJCIE GAZEM

TANIOŚĆ, CZYSTOŚĆ, OSZCZĘDNOŚĆ

URZĄDZENIA NA SPŁATY RATALNE WYKONUJE
ZAKŁAD GAZOWY MIEJSKI
WE LWOWIE UL. GAZOWA 28. — TEL. NR. 492 I 43.
KONSULTACJE BEZPŁATNIE

LOKAL SPRZEDAŻY PIECÓW OGRZEWALNYCH, APARATÓW I KUCHEN — UL. ODRĄŻCZYNA 6. — TELEFON 11-61.
GAZ ZIEMNY DO CENTRALNYCH OGRZEWAN I PRZEMYSŁU.



LISTA OFIARODAWCÓW (15)

na wspomnienie wydawnictwa kwartalnika CRACOVIA–LEOPOLIS

Zofia Dudrówna, Kraków; Grażyna Golińczak; Toruń; Jerzy Jakubowicz, Wołów; Anna Krzysztoforska (2x), Tarnów; Anna Pawlak, Toruń; Danuta Różycka, Kraków; Stanisława Strojna, Wrocław; Jan F. Szajner, Wrocław; Jacek Szeremeta, Czernichów; Ewa Śliwicka, Kraków; Janusz Tittenbrunn, Opole; Tadeusz Tomasiuk, Dokudów; Janusz Warchoń, Gdańsk; Jerzy Wolańczyk, Rokietnica; Jerzy Zadorecki, Olsztyn



Niniejszy numer CRACOVIA–LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Czasopismo Oddziału Krakowskiego

Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Anna Madej, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska, Janusz Paluch, Ireneusz Kasprzysiak, Andrzej Chlipalski (red. nacz.)

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Konto bankowe naszego Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Know-How, 31-348 Kraków, ul. Chełmońskiego 255, tel. (12) 622 85 60

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania
śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Słowo od Redakcji
NUMER BOGATY

BABCIA ZE LWOWA

Adam Bajcar
MÓJ LWÓW

Marian Hemar
MY, LWOWIACY

Adam Aleksandrowicz
STANISŁAW ALEXANDROWICZ

Józefa Anna Kędzierska
BRODY PAMIĘTAMY I KOCHAMY!

Anna Madej
TARNOPOLANIE I ICH KOLEJNY ZJAZD

Rozmowy

Zbigniew Wawszczak
ROZMOWA ZE STANISŁAWEM KOPACZEM

Janusz M. Paluch
ROZMOWA Z DR ANNĄ KOSTECKĄ

Wspomnienie

Danuta Mielnik-Łopatka
OCZAMI DZIECKA

Alicja M. Mazurkiewicz-Bednarczuk
Z KAMIONKI STRUMIŁOWEJ PRZEZ
RZESZÓW DO KRAKOWA

Historia

A. Bradecki
JUBILEUSZ 50-LECIA MATURY 1934

Jerzy Hickiewicz, Przemysław Sadłowski
STEFAN KUDELSKI

Wiersze

Zofia Żółkiewicz

TEGO NIE MOŻNA ZAPOMNIEĆ!

CÓŻ MI ZADAŁEŚ LWOWIE UKOCHANY

Proza

Franciszek Jaworski

ZEGARY LWOWSKIE

Odeszli

Danuta Nespiaik

EPITAFIUM DLA TADEUSZA

POLSKA NAUKA I NASZE ŚRODOWISKO

PONIOSŁY STRATĘ

Paweł Pencakowski

MARIA DAYCZAK-DOMANASIEWICZ

Z OSTATNIEJ CHWILI

LWOWSKA DZIENNIKARKA

I PAMIĘTNIKARKA

Krystyna Stafińska

LUCYNA KUBICKA

Kultura ♦ Nauka

MATKA BOŻA RUDECKA

REMBRANDT LANCKOROŃSKICH

OSIEMDZIESIĘCIOLECIE ZBIGNIEWA

CHRZANOWSKIEGO

KRONIKA

W Krakowie i dalej

Andrzej Pawłowski

SOKÓŁ MACIERZ LWÓW URATOWANY

HELENA NIWIŃSKA KOŃCZY 100 LAT

PO CO JA JESZCZE ŻYJĘ?

Książki ♦ czasopisma

NOWE KSIĄŻKI

WERTUJĄC WYDAWNICTWA

Listy do redakcji